Nr. 12 (1212). Warszawa, 6 (19) Marca 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Nowe krzywdy. — Tydzień polityczny. — Z Dalekiego Wschodu. Klucz wschodu (c d.), p. W. Sieroszewskiego. — ODCINEK: Lodowe pola (c. d.), p. Zofię Rygier-Nałkowską — ŻYCIE SPOŁECZNE: Z Cesarstwa, p. A. Z—a. — Z Szwajcaryi, p. A. Wróblewskiego. — Jak nas sądzą?. — FEJLETON: Pamiętnik — BADANIA NAUKOWE: Wit Stwosz i jego szkoła w Niemczech, Polsce i na Węgrzech, p. K. Mokłowskiego. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura francuska. Oktawiusz Mirbeau, p. Zbigniewa Brodzkiego. — Nowe książki, p. M. Brensztejna i Edmunda Weisberga.— POEZYE: Z Tatr, p. Wacława Wolskiego. — Na marginesie. — Kronika. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Nowe krzywdy.

Rozprawy budżetowe w obu sejmach berlińskich — niemiecko-pruskim i czysto już pruskim, dostarczyły posłom z Poznańskiego, z Prus Zachodnich i ze Śląska sposobności do wydobycia na jaw ciągłych nadużyć, ustawicznych gwałtów spełnianych przez władze administracyjne, głównie przez urzędników wydziału spraw wewnętrznych, do którego należy policya, lwią część zasługi wobec posługującego się właśnie nadużyciami i gwałtami rządu dla siebie zabierająca. Z przedmiotowo aż nad miarę łagodnych, ponad najniezbędniejszą powściągliwych głosów poselskich widać, że już się te wrzody na Rechtsstaat'cie pruskim usystematyzowały, że postanowiono nietylko do ostateczności posuwać atrybucye, jakie źle napisana konstytucya przyznaje władzom administracyjnym i policyi, ale że szranki konstytucyjności daleko rozepchnięto, aby już zgładziwszy zasadę „równe prawo dla wszystkich" — postawić na jej miejscu inną: „siła ponad prawem, a prawo tylko dla Niemca."

Gdy się zbiera pojedyncze fakta, odbijające w sobie całe typy jednorodnych wydarzeń, przychodzi się do wniosku, że istotnie, mimo konstytucyi, Polak pod rządem pruskim może być obdartym z każdego prawa i jako człowiek i jako obywatel, jeżeli tylko zechce wychylić się z ciasnego obrębu egoistycznych interesów i poczucia w sobie jednostki społecznej, i choćby najskromniej etnologicznej, nadać rzeczywistą, żywotną wartość. Ma prawo wybierania posłów do sejmu, ale mu nie pozwalają ich wybierać, tamując cały ruch przedwyborczy, jak się dzieje na Śląsku. Ma prawo zwołać zgromadzenie, ale mu nie pozwalają mówić na niem po polsku. Może myśleć o swem położeniu ekonomicznem, ale gdy tylko zbierze się razem dla obmyślenia wspólnej obrony, rozpędzają go zaraz na cztery wiatry. Może bezkarnie kupować i sprzedawać ziemię, może czynić sobie z tego proceder, ale gdy tylko zechce działalności swej nadać charakter społeczny, walą w niego toporem pozwoleń, tj. zakazów, najwyższego magistrata prowincyi. Nie może bezkarnie zaadresować listu po polsku, ani tez nazwiska swego po polsku napisać; nauczą go i epigrafiki listowej i ortografii — prześladowaniem prawdziwie żakowskiem, ale nie mniej głęboko krzywdzącem.

Nowe szczegóły z powodu nowych rozpraw w obu sejmach odsłonięte przez pp. Korfantego, Czarlińskiego, Dziembowskiego — ukazują już całe rozpasanie się zasady, w zwartą, karną armię urzędniczą wcielonej, że dla Polaka i polskości, dla człowieczeństwa z polskością nierozerwalnie związanego, dla społeczeństwa polskiego, jeśli już nie dla narodowości, niema miejsca w państwie bojaźni bożej a nabożeństwa do Lucyfera. Polak jest zawsze i wszędzie, nawet jako jednostka ze związku społecznego już wyrwana, traktowany jako istota pośledniejszego gatunku od Niemca: taki dygnitarz państwowy lub nawet amtowy, przetrzymuje go po całych godzinach, opóźnia decyzyę, zniecierpliwiony pluje nań wymysłami, pluje i pospolitą śliną pruską; na rewizyach policya zabiera rzeczy świadomie najniewinniejsze, aby tylko dokuczyć; w więzieniach dozorca znęca się specyalnie nad więźniem polskim za jego polskie przestępstwo; na drodze do więzienia gna go razem z kajdaniarzami i nieraz nawet w samych kajdanach. To, że urzędnik nie może być Polakiem nawet etnologicznym, że mu nakazują w rodzinie rozmawiać po niemiecku, że mu nie pozwalają należeć do stowarzyszeń, do banków i kas oszczędności polskich — jest jeszcze gołębią prostotą wobec każdego nadużycia, każdego bezprawia, jakiego się systemat panujący dopuszcza względem swobodnych zupełnie, w narzędzia władzy niepozamienianych obywateli — i to jeszcze w państwie konstytucyjnem. Gdyby świat dzisiejszy miał w sobie drgnienia prawdziwego w teraźniejszość wpatrzonego idealizmu, niewątpliwie napiętnowałby te orgie pruskie, jako gwałt zadawany ludzkości a zakałę cywilizacyi. Nie wytrzymałby Francuz, ani Anglik; dziś wszyscy toną w jednem morzu milczenia.

Konstytucyjność dzisiejszego państwa pruskiego, bez umyślnej, wyraźnej zmiany konstytucyi, za powszechną, milczącą zgodą obu sejmów, z wyjątkiem stronnictw skrajnych, masy narodu oraz rządu, znajduje się w stanie rozpołowienia: z konstytucyi całkowitej i całkowicie w granicach jej niedołężnych rozporządzeń korzystają tylko Niemcy; Polacy mają nieodjęte sobie jeszcze prawo wyborów i posłowania na sejmy, a z resztą praw swoich zdani są na łaskę ministrów, urzędników i policyi. W milczący też a zgodny sposób ustaliła się ta *capitis deminutio* Polaków. Reichstag czasem wypuści z siebie trochę słów na tego lub owego ministra; Reichsgericht

niekiedy obudzi się na krzyk sprawiedliwości; ale i sejm uchwala zawsze to, czego chce rząd i sąd najwyższy nie upomni się nigdy o lekceważenie swych wyroków przez rząd. Wszyscy się zmówili, bo wszyscy chcą jednego — zagłady imienia polskiego, i wszyscy też wierzą w to, że im żadna moc zewnętrzna tego zbójeckiego zamysłu urzeczywistnić nie wzbroni, a mocy wewnętrznej, w Polakach swych złożonej, oni się nie boją, oni w nią nie wierzą, dla nich duch to głupstwo — pięść policyanta, kolba żołnierza, kopyto konia szarżującego na tłum — wszystkiem. Jeszcze dwa lata temu, w Poznaniu, cesarz Wilhelm, który pierwszy wydał hasło zagłady, zapowiadał uszanowanie odrębności w obyczajach, religii i mowie; dziś już, d. 11 b. m., jego sługa, organ jego woli, minister spraw wewnętrznych Hammerstein, woła: „Mówcie po niemiecku, piszcie po niemiecku, a zrobimy dla was wszystko!“ Mówcie i piszcie! nic więcej, tylko stańcie się Niemcami, a będziecie mieli prawa Niemców. Taki jest dziś klejnot obywatelstwa pruskiego. Po straszliwych przykładach XIX w. XX-ty otrzymuje od ministra pruskiego cyniczną zapowiedź nieprzerwanego łańcucha gwałtów, aż do zupełnej zagłady. I to jest „bojaźń bożatych rozbójników i szalbierzy— ten straszliwy *Drang nach Osten*. Ślepota go tylko nie widzi, ślepota go tylko lekceważy. Dzieje wezmą za nią kiedyś odwet nieodwrócony niczem, twardy, srogi—jak Przeznaczenie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 10 b. m. Japończycy ponowili ogień na warownię Portu Artura. Komendant doniósł do Mugdenu, gdzie ma główną siedzibę swoją adm. Aleksiejew, że po północy z d. 9 b. m. ujrzano okręty i torpedowce, zmierzające ku twierdzy. Bateryе lądowe zaczęły do nich strzelać. Przed godz. 3 zrana d. 10 wypłynęły z portu torpedowce. Japończycy dali tylko kilka wystrzałów i oddalili się; torpedowce powróciły do portu. O wpół do 7-ej flota japońska, w większej już masie, zaciągnęła pod twierdzę i zaczęła strzelać. Z portu naliczono 14 okrętów. Znowu torpedowce i przeciwtorpedowce wypłynęły z portu. Wszczęła się bitwa ogniowa między nimi a torpedowcami japońskimi, broniącymi im przystępu do okrętów wielkiego kalibru, które udział swój w walce zaznaczały ostrzeliwaniem warowni, portu, miasta i oslanianiem statków, walczących z rosyjskimi. Nowy dowódca eskadry Portu Artura, wiceadmirał Makarow, przybyły na widownię wojny w d. 8 b. m., donosi, że torpedowiec „Własnyj“ zatopił torpedowca japońskiego; ale wzamian przeciwtorpedowiec rosyjski, najnowszej a doskonałej budowy, o 32-węzłowej rączości, „Stiereguszczij,“ utraciwszy maszyny, znalazł się w niebezpieczeństwie. Wtedy wiceadmirał przesiadł się ze swego okrętu admiralskiego na krążownik „Nowik“ i, dobrawszy jeszcze „Bojana,“ usiłował tonący a obskoczony przez okręty japońskie statek ocalić. Usiłowanie to wszakże było już spóźnione; pociski nietylko zburzyły machiny, ale uszkodziły i kadłub: statek poszedł na dno. Część tylko załogi ocalała i dostała się w niewolę.

Bombardowanie, prowadzone od godziny prawie 9 do 1, oczywiście z przerwami, nie wyrządziło szkody większej ani okrętom, ani wałom fortecznym i ich uzbrojeniu. Liczbę pocisków wyrzuconych oceniają telegramy na 154—200 i więcej. Są straty w załogach okrętów: 3 oficerów ranionych lekko, 1 ciężko, żołnierzy 2 zabitych, 18 ranionych; na wałach sześciu tylko ranionych szeregowców, w mieście 3 osoby zabite i 1 ciężko raniona. Późniejsze doniesienia nieznacznie tylko zwiększyły tę ostatnią pozycyę. Japończycy mają 9 zabitych i 12 ranionych. Raport komendanta twierdzy mówi, że „jedna bomba bateryi 15-ej stacyi elektrycznej silnie uszkodziła krążownik japoński, podobno „Takasajo.“ „Uszkodzenia okrętów— donosi wiceadm. Makarow— nieznaczne i okręty zupełnie gotowe są do boju.“ Boju jednakże do rana d. 16 b. m. nie było. O zniszczeniach budynków w mieście nic nie wiadomo. Miasto już przed bombardowaniem z d. 10 b. m. było w połowie wyludnione — okoliczność ułatwiająca obronę na czas dłuższy. Japończycy strzelali z odległości 12 wiorst, choćby tylko kilometrów; na bliższe strzały nie pozwala obawa zetknięcia się z minami podwodnemi, które dziś sztuka niszczenia umie zakładać na pełnem, najgłębszem morzu. Dotychczas niema doniesienia o próbach japońskich wylądowania w zatoce Liaotong na zachodo-północ od Portu Artura, około Inkau, ku Niu-czuangowi; a tego bez floty wojennej Japończycy przedsięwziąć by nie mogli. Wszystkie też pogłoski o wylądowaniu ich pomiędzy półwyspem Liatońskim a ujściem Jalu, czyli na północ od Portu Artura, okazały się nowinkami dziennikarskiemi.

Napad d. 6 b. m. na Władywostok nic nie zyskuje na doniesieniach, rozprowadzających temat głównego wypadku na rozliczne szczegóły pojedynczych momentów. Po całym napadzie pozostała nierozwiązana wątpliwość. gdzie się podówczas znajdowały krążowniki eskadry wschodniej? Japończycy wierzyli w ich wypłynięcie z portu i krążenie przy brzegach, donieśli też o poszukiwaniach — ale nadaremnych. Może szukali tego, czego już znaleźć nie mogli, jeżeli eskadra krążowników, która w środku lutego, zostając pod dowództwem kapitana 1-ej klasy, Rajzensztajna, istotnie trzymała się na pełnem morzu, później wpłynęła do portu i stała w nim podczas bombardowania. Port władywostocki nie był już od powyższego dnia atakowanym. Z okrętów rosyjskich, znajdujących się na wodach niewojennych, trzy z przeznaczonych do powrotu bądź na m. Śródziemne, bądź na Bałtyk, trzymają się przy pomorzach Egiptu, od północy i od wschodu, aby zatrzymywać okręty podejrzane o kontrabandę. Taki np. wypadek spotkał d. 3 b. statek angielski po nad Damiettą. Wojna obecna pogłębi i wzmocni prawo wojujących przeciwko neutralnym co do dostarczania przeciwnikowi węgli i żywności. Obie strony z większym, niż dawniej bywało, naciskiem podciągają oba te przedmioty pod pojęcie kontrabandy wojennej. Wogóle dotychczas żadna z nich nie może się skarżyć na neutralność życzliwą dla przeciwnika. Poseł angielski w Pekinie wydalił gazeciarza redagującego dziennik nieprzychylny dla Rosyi w Tientsinie, a prezydent Stanów Zjednoczonych otrzymał od p. Cassiniego dobrze zasłużone podziękowanie za okólnik, nakazujący urzędnikom związku wystrzegać się stronniczości — nawet w mowach, oczywiście publicznych; nasze dzienniki zrobiły z mów — „rozmowy.“

Na lądzie to się tylko zmieniło, że Japończycy wysadzili na Koreę nowe kilkanaście do dwudziestu tysięcy wojska. Prawdopodobnie mają go tam już dzisiaj 70,000 — na Koreę zawiele, na Mandżuryę zamało. Wszystkie stanowiska rosyjskie ściągnięto już nad ujście Jalu, które wraz z Liao-jangiem i Niu-czuangiem będzie strategicznym węzłem przyszłych działań, obronnych od strony Korei, zaczepnych od Liao-tongu. Wysadzenie 2,500 Japończyków w zatoce Plaksina jest ciągle jeszcze mytem; możnaby w nie uwierzyć tylko w przypuszczeniu, że o wiele znaczniejsza siła dotarła do Ham-heungu od lądu lub od morza i potrzebowała zabezpieczyć się od strony Władywostoku. W obecnej porze roztopów, przy wielkiej górzystości całego pomorza połu-

---

8)

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

Nagle zapanowały letnie prawie ciepła. Wydaje się, jakby to z gorąca zżółkły liście.

Idę z biura — sama i opuszczona.

Marzę, jak we śnie, o nieskończonych polach, o malowniczych wzgórzach, cienistych lasach i pachnących łąkach Kłosowa. I park widzę — stary park z ciętemi krzewami i wysokimi, nagimi pniami drzew, których liście, tworząc namiot pod niebem samem, czerwienieją i żółkną od żarn słońca. I staw widzę — wielki, jak jezioro, czarny, pusty staw w noc bez gwiazd i bez księżyca, w tę noc, w którą złamałam czarodziejską moc życia, w którą sama zabiłam dłonią własną własne szczęście.

Patrzę na ludzi, którzy spacerują po wymoszczonej zeschłymi liśćmi alei. Z drzew za najlżejszym powiewem sypie się złoto i purpurowe strzępy królewskiego płaszcza, a oni idą, depcąc bez żalu szeleszczące liście.

Jestem w nastroju dziwnego rodzaju panteizmu. Ja moje zwielokrotnia się w tysiąc bogów i przenika cały świat. Niema już w nim miejsca na nic po za mną. I dlatego bezgranicznem zdumieniem przejmuje mię myśl, że ci wszyscy ludzie mogą deptać moje złote liście jesienne, albo patrzyć na mnie, dlatego że mam oryginalną twarz i kapelusz *a la diable m'emporte*. Nie potrafię uwierzyć w to, że naprawdę żyją, bo niema przecie życia po za mną...

Nieprawda.

Tam — w niezmierzonej dali na drugim brzegu morza nieskonczoności — jest on, jedyny godny mnie wróg. I czeka, bym pierwsza przyszła do niego.

Ja — boję się. Tydzień już nie byłam u Obojańskiego. A on jest tam co wieczór prawie.

Gdy pomyślę o moim cudnym, bułanym wierzchowcu albo o słodkich ustach Janusza — to chce mi się płakać. Ale nie wrócę tam chyba.... Takbym chciała módz nie wrócić...

Ty śliczny, młody chłopcze z połyskującemi, jak u wilka, oczami — czemuś ty nie wiedział, że...

Nawet by skoczyć w przepaść, trzeba o czegoś odbić się nogami ..

* *

Mam nieodpartą dążność do szukania wśród ludzi typów — nie lubię rzeczy przypadkowych, niezwiązanych logicznie i nieodłącznie z rodzajem natury człowieka. Gdy by to odemnie zależało, odrzucałabym z ludzi wszystko niepotrzebne, nieistotne, by nie zaciemniało i nie komplikowało tak bezsensownie ich wzajemnych stosunków — zupełnie, jak uczony przy doświadczeniach w laboratoryum. Z Obojańskiego np. chętnie zrobiłabym mędrca greckiego, odrzuciłabym to wszystko, co tak do niego nie pasuje. Smiłowicz powinien być ciasnym społecznikiem — właściwie jest na swój typ za mądry i zupełnie niepotrzebnie mądrzejszy od Obojańskiego. Rosławski jest prawie bez zarzutu, wolałabym tylko — i nawet z pobudek osobistych — by mniej idealnie zapatrywał się na małżeństwo.

...owo-zachodniego Korei, pochód nadzwyczaj utrudniony mógłby mieć za cel tylko zbliżenie się powolne do środkowej Jalu, aby zagrozić [illegible] pozycyom rosyjskim po nad ujściem [illegible].

Na Bałkanach sułtan ciągle bawi się w kotka i myszkę. Hilmi-basza układa się o warunki powrotu wychodźców do kraju, do Bułgaryi i do Macedonii. Układy Naczewicza z Portą zupełnie się rozchwiały. Albańczycy nieco się uspokoili. O wkroczeniu Austryaków do N. Bazaru ucichło.

W Peszcie rozsądek i patryotyzm rzetelny zwyciężyły ugronizm; d. 9 b. m. zrzekli się wszyscy *exaltados* tamowania obrad; prawo zaciągu wojskowym przeszło, ale pokój ten jest kruchą lepianką; jedno hasło go zburzy.

Cesarz Wilhelm płynie już od 12 b. m. na południe. Spotkał się z królem hiszpańskim w Vigo, spotka się z włoskim na wodach lub lądzie włoskim, a jakiś nowiniarz dał mu nawet misyę porozumienia się z Wiktorem Emanuelem III i Loubetem.

Izba francuska przyjęła już znaczną większością artykuł prawa, odejmujący zupełnie prawo wszelkiego nauczania duchownym. Gazety zabawiają się szpiegiem Martinem, urzędnikiem ministeryum marynarki, jakoby sprzedającym jakieś plany japońskiemu *attaché*.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

II. Ton-sa, Ma-fu i phun.

Zapisz pan sobie w notesie, zapisz pan sobie!.. — nalegali przyjaciele obecni przy moim wyjeździe — [illegible] — nierozumiem, *iso* — jest, *obsa* — niema, *czoso* — dobrze, *pali-pali* — prędzej, [illegible]a — precz, *napo* — źle, *kamajeso* — za[illegible]aj, *tony* — pieniądze, *suli* — wódka, *muri* — woda, *puri* — ogień, *kiera* — jajo, [illegible]oo — [illegible], *mogure* — jeść, *czapso* — pić, *segnia* — zapałki...

Ale przedewszystkiem wymyślaj! Wymyślaj i mów, jakim chcesz językiem, a zrozumieją cię. Korejczycy są ogromnie sprytni, ale do sprytu, a szczególniej do działania pobudzić ich można jedynie gwałtownem natarciem!..

Starannie zapisałem słówka, zapamiętałem rady, ale mimo to postanowiłem nająć tłomacza.

Z trudnością znaleziono w Genzanie krajowca, który umiał trochę po angielsku i za dwa ruble dziennie zgodził się towarzyszyć mi w wyprawie. Ale o wiele większą trudność przedstawiło znalezienie... koni. Nigdym nie przypuszczał, żeby w ogromnej wsi korejskiej, żyjącej głównie z dostawy towarów, zabrakło nagle jucznych zwierząt. Zgodziłem się nawet na woły, ale... wszystko znikło. Natomiast pojawili się jacyś Jepończycy, którzy trop w trop chodzili za mną. Dopiero nazajutrz, na skutek energicznych poszukiwań miejscowego agenta floty ochotniczej i pogróżki, że pójdziemy ze skargą do „kam-ni" (komisarza portowego), znowu ukazał się na dziedzińcu Osa-ban, ten sam stręczyciel furmański, który nas już był kilka dni przedtem obietnicami zwodził. Znowu przyrzekł uroczyście dostarczyć za dobre pieniądze parę koni, które... *dojdą!* Ale... ale tylko parę!.. Zresztą tłomacz (ton-sa) zgadzał się iść piechotą za mały dodatek do umówionego wynagrodzenia.

— Musi się pan decydować, niema rady. Jedzie pan albo nie jedzie!? Furmani i ich stręczyciele tworzą w Korei jedną szajkę. Jeden drugiemu nigdy w drogę nie włazi. W dodatku czuję, że tu mąci ktoś trzeci. Trzeba czemprędzej brać, co dają, gdyż za jakąś godzinę może inny wiatr zawiać i nic nie dostaniemy... W takich wypadkach nie pomogą ani umowy, ani zadatki, które wogóle Korejczycy mają za nic... Pewnym swego może pan być wtedy dopiero, kiedy pan siądzie na konia. Ale i wówczas radzę rewolwer i nahajkę mieć pod ręką. Korejczycy ulegają tylko sile — pouczał mię agent.

Zgodziłem się więc niezwłocznie na wszystkie warunki i kazałem przyprowadzić konie nazajutrz o świcie.

O brzasku byłem gotowy do drogi. Ale minęła godzina szósta, siódma... dziesiąta, wysłano do Osa-bana jednego i drugiego gońca, a nie zjawiły się ani konie, ani woźnica, ani nawet wysłani gońcy... Zaniepokojeni udaliśmy się sami do korejskiej dzielnicy.

— Poznaję robotę Japończyków... Napewno telegrafowali do Tokio z zapytaniem, co mają z panem robić i czekają na odpowiedź. W istocie, oni są tu panami i miastem rządzi nie kam-ni, lecz konsul japoński... Czuję to na każdym kroku.. Czy pan wie, że oni raz zabronili w sąsiednim porcie ładować woły na nasze statki i żaden Korejczyk nie ośmielił się zakazu naruszyć... Nie mogliśmy znaleźć robotników za żadną cenę — oburzał się agent.

Ku wielkiemu naszemu zdumieniu w połowie drogi spotkaliśmy tłomacza i woźnicę z końmi, w towarzystwie wysłanych sług.

— Dlaczego spóźniłeś się?

— Konie jakoś długo jadły... Musiały się przecież najeść przed drogą... Potem... jadłem ja... potem robiłem sprawunki... Dużo sprawunków, bo podróż daleka... Potem przyszedł jeden sługa, potem przyszedł drugi sługa... Jak zaczęli wymyślać, tak się zwlokło...

— Nasz „ma-fu" (furman) jest *z urodzenia* bardzo leniwym człowiekiem... znam go od dzieciństwa... Cóż robić, kiedy tak się stało!.. — objaśniał nam poufnie, bez śladu zakłopotania tłomacz.

Rozbroiła mię ta typowa, korejska odpowiedź. Tłomaczenia ich zawierają zawsze jakiś pewnik niezwykle prosty i niezbity.

— Dlaczego usnąłeś wczoraj, kiedy kazałem ci czuwać?! — wyrzucał gospodarz słudze?

— Ogromnie mi się spać zachciało!—odpowiada ten tonem, liczącym na niechybne współczucie.

— Wczoraj rabusie wpadli do domu bogatego Korejczyka; na krzyk pokrzywdzonych zbiegła się policya, ale nic zrobić nie mogła, gdyż rabusie mieli rewolwery i mogli kogoś zabić... Dali im spokój, bo przecież milsze każdemu życie, niż pieniądze — opowiadał mi zupełnie poważnie przysięgły tłomacz genzański, były uczeń szkoły rosyjskiej w Seulu.

Myślałem, że natychmiast po przybyciu do domu ruszymy w drogę... Ale gdzie tam! Leniwy *z urodzenia* ma-fu wcale się nie spieszył. Okazało się, że nie miał .. siodła. Przywiązał konia do sztachet i poszedł szukać go na miasto. Tymczasem najęty tłomacz znacząco kręcił się koło nas. Wreszcie wybąkał, że on ze mną nie pójdzie, gdyż... jego ojciec nagle zachorował. Zdumiało to nas, ale powód był nie do pokonania. Cześć przodków i gorące przywiązanie do rodziców jest w Korei nakazem religijnym. Nawet mój krewki gospodarz, pan agent, zamilkł na razie.

— O łotry, o obwiesie!.. — zamruczał wreszcie, odchodząc pospiesznie w głąb domu.

Ton-sa (tłomacz) stał dalej na ganku i pilnie nam się przyglądał. Wietrzyłem w jego zachowaniu się jakąś nową grę

A swego typu nie znam, nie posiadam go prawdopodobnie — i to od lat najmłodszych stanowi moje utrapienie. Nie potrafię siebie uogólnić, określić jednym wyrazem, jak oderwane pojęcie. Jestem zanadto skomplikowana.

Ojciec mój był mularzem, a w twarzy mojej, postawie, ruchach niema nic gminnego, sama zamiatam swój pokój i czyszczę buty, a ręce delikatne mam, jak arystokratka, przez całe dzieciństwo chodziłam w grubych, tanich trzewikach lub boso, a na moich białych nogach niema ani jednego odcisku... Pracuję, chociaż nienawidzę pracy, większą część dnia spędzam nad wyjaławiającem umysł sumowaniem nieskończonych kolumn cyfr, — a jednak umiem myśleć mądrze, jestem subtelna, wykwintna, i chociaż nie piszę poezyi, nie gram, ani maluję, mam duszę nawskroś artystyczną; żyję prawie w niedostatku, a mam zamiłowania sybaryckie, jak ludzie, żyjący kosztem innych. — Wiem, że właściwie, nie jestem niczem nadzwyczajnem — ale wszystko, czem jestem, nie ciąży na mnie żadnym wyrzutem sumienia, w tem wszystkiem niema ani jednej kropli krwi cudzej, ani jednej ludzkiej łzy.

* * *

Karta od Marty z jakąś secesyjną niewiastą, cała zasypana drobniutkiem pismem.

„Dziadek ciężko chory. Od tygodnia nie sypiam zupełnie. Jestem blizka obłędu, nerwy mię tylko trzymają, ale co będzie dalej, nie wiem. Mam wciąż wrażenie, że mi puchnie mózg i że czaszka mi się za chwilę rozleci. Zadręcza mię ta potworna, niezasłużona bezmyślność cierpienia. Nie chcę myśleć, jak się to skończy — wiem jedno, że się coś kruszy we mnie. — Nigdy jeszcze nie czułam się tak rozbita duchowo. Płacę z lichwą rachunki przeszłości. Ani się opatrzyłam, jak przyszła jesień życia, niezłocona nawet wspomnieniami o wiośnie, której nie miałam nigdy. Po całych nocach siedzę przy chorym i snuję tę nieskończoną litanię smutków, krwawych i żrących, jak rdza. M."

O Januszu ani słowa.

* * *

Dziś, wracając z biura, spotykam Smiłowicza z wielką paką książek pod pachą. Wita mię serdecznie i ofiarowuje się odprowadzić mię do domu. Mimo swego zabawnego uśmiechu, ten człowiek imponuje mi trochę swą nieugiętą konsekwencyą życia i teoryi. Jest — jak mówi Obojański — bardzo zdolnym nauczycielem nauk przyrodniczych, ale traci wszystkie lekcye, bo nie może z wymaganiami przełożonych pogodzić swych postępowych teoryi. Obecnie od dłuższego już czasu naogół wziąwszy nie jada, ranki spędza w bibliotece uniwersyteckiej, wieczory u Obojańskiego.

Przechodząc koło Filharmonii, komunikuje mi, że nie był tu jeszcze ani razu.

— Czy dlatego, że pan nie chce?

— Tak. Nienawidzę muzyki, strojów, atmosfery zadowolenia i rozbawienia. Wszystko to jest dla mnie wyrazem wyzysku, krzywdy i niesprawiedliwości, bo dostępne jest tylko niektórym i tylko kosztem innych.

— Ale zapomina pan, że krzywda i niesprawiedliwość nie leży w samej zasadzie piękna, sztuki, rozkoszy artystycznej, chociaż łączy się z tem wszystkiem w dzisiejszej fazie historyi. Teorya taka wydaje mi się okropnie aktualną. Niech pan sprobuje wyswobodzić się z pęt czasu i spojrzeć na dzień dzisiejszy z boku, zgóry, z lotu ptaka — rozumie pan?.. Ja też odczuwam

wschodnią i tłumiąc rozzalenie, powiedziałem zupełnie spokojnie:

— Cóż robić: pojadę bez tłomacza. Gdzież się podział ma-fu?

Obecni pobiegli skwapliwie szukać ma-fu, lecz po chwili ton-sa wrócił w towarzystwie wysokiego, przystojnego Korejczyka.

— Sir! - rzekł po angielsku. — Droga jest długa i trudna. Źle będzie wam bez ton-sy. Ten człowiek umie po angielsku lepiej, niż ja...

— Ale żąda większego wynagrodzenia! — dokończyłem za niego.

— Nie. On pójdzie za te same pieniądze!

Spojrzałem bystro i ze zdumieniem na przybysza: agent również wyszedł na ganek. Lewy wąs nowego ton-sy drgnął cokolwiek, zresztą wytrzymał nasze spojrzenie spokojnie. Podobał mi się, miał twarz poważną, śmiałą i zręczne ruchy żołnierskie.

— Byłem wioślarzem u angielskiego agenta, ale po jego wyjeździe zostałem bez zajęcia — powiedział dość poprawnie po angielsku.

— Jak się nazywacie? Czy macie dom, żonę i dzieci i gdzie się one znajdują? — pytał gospodarz.

— Nazywam się Im-czaa-giri. Mam żonę, troje dzieci i dom tu w Genzanie.

Wymienił ulicę. Zapisano to wszystko do sporządzonej naprędce umowy. Niepodobało mi się, że Im-czaa-giri wykręcił się od jej podpisania. Rozważyłem jednak, że jeśli Japończycy albo Korejczycy zechcą uczynić na mnie zasadzkę, to lepiej aby choć jeden z ich wspólników był wiadomy. Zresztą nowy ton-sa zachował się bardzo przyzwoicie i dość nieśmiało poprosił o 3 dolary zadatku *).

— Tyle odstępnego muszę dać poprzedniemu ton-sa!

— Odstępnego?.. A cóż jego ojciec?!

— Już wyzdrowiał! — odrzekł z dyskretnym uśmiechem mój nowy towarzysz.

Teraz dopiero spostrzegliśmy, że nasz ma-fu stał oparty o sztachetę i nic nie robił. Rozumie się, że siodła nie znalazł, ale nie wykazywał z tego powodu najmniejszego zakłopotania. Był *też* w żałobie po ojcu, nosił żółtawą, zgrzebną odzież, ogromny i nisko na twarz spadający, bambusowy kapelusz, i zupełną obojętność w sercu na rzeczy doczesne, do których przedewszystkiem należały nasze żądania. Korea jest krajem, gdzie doprawdy można znienawidzieć uczucia rodzinne!

Obejrzałem ofiarowane mi przezeń siodło juczne. Były to dwie, niezgrabne, zgruba zaledwie ociosane deski, połączone dwoma mocnymi łękami. Ponieważ nie miałem wyboru, kazałem czemprędzej przyczepić do nich dwa strzemiona z wikliny, nakryć wojłokiem, poczem poprężyć i niezwłocznie juczyć konie. Gdym dosiadł mego wierzchowca, wydało mi się w pierwszej chwili, że mam pod sobą... Giewont.

Wierni sobie Korejczycy w ostatniej dopiero chwili powiedzieli mi, że muszę zmienić srebro na mosiężne *czochy*.

— W okręgu Genzańskim nie biorą niklów, nikle zaczynają się za górami — ostrzegł mię Im-czaa-giri.

W dodatku ma-fu zażądał wypłaty połowy należności zgóry i również mosiądzem.

Korejski system monetarny zawsze doskonale odzwierciedlał panujące prądy polityczne. Korejczycy chwalą się, że mieli monetę na długi czas przed naszą erą. Ale Chińczycy, którzy nie znoszą, żeby ktoś miał coś nie od nich, twierdzą, że metalowe pieniądze poznali Korejczycy dopiero w XIII stuleciu *). Rozumie się, ze to były pieniądze chińskie. W XVII stuleciu zaborcza dynastya Mandżurska zabrania Korei bić własną monetę. Cesarz Sjuk-dzon Ueń-hio w początkach XVIII w. próbuje ratować upadające państwo, wprowadza reformy i wbrew zakazowi zaczyna znowu wypuszczać krajowe pieniądze. Ale chaos wewnętrznych roztercek przejawia się i w systemie monetarnym. Nietylko oddzielne prowincye, ale ministerya, zarządy, nawet osoby (naczelnicy 5 dzielnic w Seulu) mają prawo wyrabiać własną monetę.

Ten chaos trwał do ostatnich czasów, zmieniając się jedynie w szczegółach. W końcu ubiegłego stulecia, dzięki wpływowi Japonii, wprowadzono system monetarny według wzorów europejskich. W tym celu w 1884 r. założono w Seulu mennicę, która zresztą dla niewiadomych przyczyn została bezczynną. Dopiero w 1892 roku w Czemulpo zaczęto pod kierunkiem majstrów japonskich bić monetę stęplami, sprowadzonymi z Japonii. Moneta ta jest gorsza od japońskiej, ale ma ten sam podział i nominalnie tę samą wartość. Korejski dolar srebrny 5 *yan* (albo *lan*) równa się japońskiemu *yenowi*; 1 srebrny *yan* równa się japońskiej monecie srebrnej 20 *sen* (0,20 yena), niklowa moneta 25 *phun* równa się niklowej, japonskiej moneci 5 *sen*, a miedziak 5 *phuna* — jednemu japońskiemu *senowi*. Stara jednak moneta chińskiego typu utrzymała się w obiegu w wielu miejscowościach Korei. Dzięki temu, iż kurs spadł niżej istotnej wartości metalu, skupują ją skrzętnie Japończycy i wywożą jako towar. W 1899 r. wywieźli z samego Fuzanu tych pieniędzy za 450,000 yen *).

Nominalnie 500 *phun* kosztuje jednego yena (98 kop.); każdy *phun* (czoch) waży około 3,4 gramów. Nawlekają je zwykle po 100 sztuk na mocny sznurek, co zwie się *yan* (lan) i jest najulubieńszą jednostką płatniczą. Dziesięć *phun* zwie się *czjon*.

Za 20 yenów (rubli) przyniesiono mi całe naręcze tych yanów i czjonów. Było tam z górą 10,000 dziurawych, guzikowatych monet, które ważyły około 50 funtów. Połowę musiałem wziąć na drogę, a połowę oddałem z wielką przyjemnością naszemu ma-fu, co go również ucieszyło, gdyż wskutek różnicy kursu nominalnego i rzeczywistego zyskiwał na każdym rublu parę groszy.

Władował sobie swój skarb na plecy i ruszyliśmy nareszcie w drogę.

W przejeździe przez korejską dzielnicę poszczęściło mi się i spotkałem kupca idącego z obrachunkiem do swego patrona. Poprzedzał go rząd stękających tragarzy, z których każdy miał na plecach zaledwie *trzydzieści rubli*. Sto rubli przedstawia poważny ładunek na *jednego konia*.

Tak wygląda chiński wynalazek! Bardzo on niedogodny dla złodziei i podróżników. W rezultacie złodzieje starają się kraść wyłącznie srebro. A dla dogodności podróżników korejskich oberżyści tutejsi wpadli na pomysł o wiele sprytniejszy, niż nawet sławne, pieniężne kwity Cooka. Można w początkach podróży zapłacić oberżyście pewną kwotę i ten wydaje rewers odpowiedni, na którym następnie cały szereg innych oberżystów notuje należność, przypadającą im za nocleg i pożywienie podróżnego. Ostatni oberżysta wypłaca podróżnemu resztę pozostałych pieniędzy, a kwit zostawia sobie. Rozumie się, iż takie przekazy są możebne jedynie dzięki doskonałej i jednolitej w całym kraju organizacyi cechu oberżystów.

*) Dolarami nazywają w Korei srebrne, japońskie yeny (98 kop.) oraz srebrną, korejską monetę tej samej wartości.

*) Gardner: „Journal of the China Branch of the Royal Asiatic Society.“ r. XXVII, nr. 2, p. 71, cyt. według „Opisanie Korei,“ wydawnictwa ministeryum skarbu, t. II, str. 469.

*) „Trade of Corea for the Year 1899“ („Diplomatic and Consular Reports,“ nr. 2511); „The independent,“ August 3. r. 1889, cyt. wedł. „Opisanie Korei,“ t. II, str. 473.

---

wszelką niesprawiedliwość, ale abstrachuję od niej piękno i kocham je zarówno w sztuce, jak w życiu...

— Może pani ma słuszność, ale ja nie jestem zdolny do takiego objektywizmu. We mnie oburzenie przytłumia wszelkie miękie artystyczne uczucia. Sądzę nawet, że dziś nie czas na rozkoszowanie się sztuką, zagłębianie się we wszelkie subtelne analizy estetów, modernistów. Dziś potrzeba nam czynu.

— Mnie zaś dla spokoju sumienia wystarcza jedynie świadomość, że tak samo, jak żyję obecnie, mogłabym żyć i wtedy, gdy nastanie — jak mówi Ferri, dla wszystkich jednakowy punkt wyjścia społecznych warunków rozwoju.

Smiłowicz się ucieszył.

— Ach — więc pani to rozumie... Ja lękałem się właśnie, że panią musi dziwić moja przyjaźń z Obojańskim wobec tego, co zwykle mówię. Ale gdyby praca naukowa była odpowiednio ceniona, Obojański swemi monografiami mógłby zarabiać tyle, ile z procentów wydaje teraz na swoje sybaryckie życie. Poprostu tylko innemi środkami dochodzi do tego samego rezultatu — rodzaj machiawelizmu... Bo to jest już niestety kompromis.

— O, chętnie zgodziłabym się na taki kompromis! Absolutnie rzecz biorąc, pracuję zawiele, — mogłabym pracować mniej, lecz produkcyjniej... Szkoda doprawdy mego sprytu na to wieczne rachowanie...

Marzę teraz o tem, by wydostać skąd trochę pieniędzy. I myślę z pewnym niepokojem, czy ja nie dla względów materyalnych przypuszczam możliwość małżeństwa z Januszem w razie, jeżeli Rosławski...

Żałowałabym, gdyby tak było naprawdę. Nie dlatego, że źle świadczyłoby o szlachetności mej duszy — to głupstwo — tylko, że jeszcze bardziej zmniejszyłoby w mych oczach wartość zwierzęcia...

*

Z tych jestem, co popełnili grzech większy, niżli pierworodny: jadłam z drzewa świadomości, że niema złego ani dobrego.

Właściwie — ja doszłam już do samego dna... Bo ostatecznie każdy ma coś. Ludzie nieszczęśliwi wielbią w sobie potęgę bólu; ludzie, którzy wyrzekli się życia, — ubóstwiają swą siłę woli. A ja nic nie mam, naprawdę nic nie mam. — Jestem za mało piękna, by piękność tę w sobie ukochać. — A mądrość jest mądrością tylko z pewnego punktu widzenia — jeśli się ten punkt zgubi, to pojęcie mądrości zupełnie istnieć przestaje; nie jestem niezwykła — bo za mądra jestem na to, by być sztuczną i tajemniczą. Posiadam wszystkie złe strony wielkiego mędrca: w nic nie wierzę i nic mnie nie obchodzi. A nie wiem, jak mędrcy, wszystkiego, nie kocham nauki i nie posiadam jej. Ale tem zwątpieniem mem i zobojętnieniem dla wszystkiego nie pieszczę się, jak typowi dekadenci — przeciwnie, przed ludźmi i sama przed sobą udaję wesołą, szczęśliwą, piękną, zadowoloną z tego, ze to ja właśnie sobą jestem... A i to nie dlatego, bym rozmyślnie ukrywała swą tajemnicę, tylko dlatego, że wesołość moja jest dla mnie mniej nudna od mego zwątpienia... I tego nawet nie mam, co tu teraz mówię, bo niezupełnie jestem tego pewna...

Rosławski?.. Właściwie nęci mię tu tylko eksperyment.

Nie skorzystałem jednak z tego udogodnienia, gdyż nie wiedziałem jeszcze, gdzie mię los rzuci, nie chciałem krępować się w ruchach i wyborze miejsca wypoczynku, a nie wierzyłem, żeby każda wioszczyna miała takiego bankiera. Przekonałem się z czasem, że nie miałem racyi. Gdybym im był zawierzył, uniknąłbym przykrości, jakich miałem niemało z powodu fałszywych pieniędzy niklowych. W Genzanie przy zmianie dano mi ich prawie połowę. Fałszywe pieniądze są i były zawsze plagą Korei. Obecnie Korejczycy fałszerstwo ich zwalają na Chińczyków i Japończyków. Istotnie, korejscy majstrowie nie umieją podrobić dość zręcznie stępli wzorów europejskich *). Natomiast rząd koreński wypuszcza coraz gorszą monetę w ilości nieograniczonej, zależnie od pustek w skarbie państwa i przyległych mu... kieszeniach urzędników.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) A. Hamilton podaje, że w Czemulpo w 1902 r. schwytano 3,573 138 sztuk kontrabandy fałszywej monety wartości 18,191 funt. sterl. Największą ich ilość—9,000 sztuk znaleziono w sierpniu na pokładzie łodzi korejskiej. („Korea,“ London, 1904, str. 103).

ŻYCIE SPOŁECZNE

Z Cesarstwa.

Pochłonięcie uwagi ogółu przez wiadomości z teatru wojny. — Mikołaj Michajłowskii. — Borys Czyczeryn.

Uwagę społeczeństwa rosyjskiego prawie całkiem pochłania, tocząca się na Dalekim Wschodzie wojna. W powodzi wiadomości o wypadkach na jej terenie, sądów i przepowiedni dzienników i augurów dyplomatycznych toną wiadomości wielkiej skądinąd doniosłości. W tych czasach np. rozpoczęła się druga serya posiedzeń sądowych w sprawie zaburzeń antysemickich w Kiszyniowie, —sprawie, która interesowała żywo cały ogół połeczeństwa rosyjskiego w rozmaitych jego odłamach bez względu na różnicę zdań i sympatyi — i bezwątpienia zainteresowanie to wzmogłoby się jeszcze w normalnych warunkach, gdyby nie wojna. Mniejsze wrażenie, niżby należało się spodziewać, wywarły też tak doniosłe fakty, jak mianowanie przez ministra spraw wewn. wydziałów ziemskich („upraw“) w Twerskiej gubernii i w Nowotorżskim powiecie na miejsce dawnych, wybranych przez zebrania ziemskie; ustąpienie ministra oświaty p. Zengera i nominacya nowego ministra skarbu p. Kokowcewa. Nawet na bolesne straty, poniesione już po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Japonią, społeczeństwo rosyjskie mniej żywo reaguje, przechodzi nad niemi do porządku dziennego daleko prędzej, niż w zwykłych warunkach. Mam na myśli przedewszystkiem dotkliwy wyłom w szeregach postępowej inteligencyi rosyjskiej, sprawiony przez śmierć Mikołaja Michajłowskiego i opróżnienie istotnie „Szczytnej Placówki“ *) w społeczeństwie, na której on od lat 60 zeszłego stulecia do ostatniej chwili mężnie i uporczywie walczył pod hasłem prawdy w wiedzy i sprawiedliwości w stosunkach społecznych („prawda — istina i prawda sprawiedliwost'“). Niepospolity talent publicystyczny, szlachetność i stałość przekonań, jasność umysłu, dostrzegającego, nawet pod zasłoną, wrogie rozwojowi społeczeństwa zjawiska i kierunki — oto zalety, które łączył w swej osobie zmarły pisarz. Lecz bodaj czy nie najbardziej znamienną w Michajłowskim była pewna osobliwość jego usposobienia, która nadawała charakter publicystyczny nawet pracom jego z zakresu nauki, — mianowicie ciągła łączność jego wywodów krytycznych ze zjawiskami życia bieżącego i z dążeniami do możliwie najrychlejszego urzeczywistnienia doskonalszych ideałów społecznych. Sam pisarz określa ową właściwość słowami: „Ustawiczne nieszczęście moje, jako pisarza, zawierało się i dotąd zawiera w tem, że nigdy nie mogłem uchronić przedmiotu mego pisania przed w targnięciem doń życia bieżącego wraz z jego pstrym hałasem dnia dzisiejszego.“ Najbardziej interesowało go zagadnienie stosunku jednostki do społeczeństwa, które on traktował zarówno, jako socyolog, jako publicysta; i zapewne w tej właśnie jednolitości naukowych oraz publicystycznych prac Michajłowskiego tkwi jedna z przyczyn w pływu i popularności, jakimi się cieszył zmarły pisarz. Marząc o najwszechstronniejszem udoskonaleniu i rozwoju jednostki, wierzył on, że zjednoczone usiłowania owych jednostek, świadomie dążących do wyzwolenia, stanowią poważny czynnik w życiu społeczeństw, i dlatego tem usilniej walczył z przejawami obojętności ich i zwątpienia w skuteczność usiłowań. Skrajny indywidualista był Michajłowskij najżarliwszym wrogiem nowoczesnych estetów i ich nad-moralności, — ten bowiem gatunek indywidualizmów, według niego, rozpowszechniał wokoło siebie zupełny indyferentyzm społeczny. I jeśli działalność Michajłowskiego miała znaczenie w epoce stosunkowo żywszego nastroju społeczeństwa, to tem donioślejszą była w swych skutkach w dobie depresyi. Publicysta budził uśpioną myśl i oniemiałe sumienie, energicznie zwalczał nowe hasła społeczne i literackie, wytworzone przez zmęczenie i rezygnacyę, pogrążonego w apatyi ogółu. W tej epoce wypadało mu „nieść otuchę zmęczonym, przekonywać tych co zwątpili, i z ułamków niezadowolenia z obecnego stanu stwarzać świadomą dążność ku lepszej przyszłości.“

W pamięci piszącego te słowa powstaje wspomnienie skromnego wieczorku, wydanego przed paru laty przez moskiewskich literatów na cześć Mikołaja Michajłowskiego i Wejnberga, którzy byli przyjechali do Moskwy by przyjąć udział w koncercie na rzecz kasy literackiej. Na tym koleżeńskim wieczorku zmarły pisarz, dając wyraz temu, co go najwięcej bolało, mówił w formie przypowieści o bezrozumnych gospodarstwach mlecznych, co zamiast skrzętnego zbierania śmietanki z mleka wylewają ją na daleki śmietnik, gdzie ona ginie marnie. Nuty żalu i gniewu, cechujące ową przypowieść, brzmią i w następujących słowach „o smutnym losie najbardziej uzdolnionych Rosyan:“ „Gdyby środowisko po wyciśnięciu wszystkich soków, odrzucało ich na stronę, jako grat na nic nieprzydatny, to pomimo całego oburzenia moralnego poczucia z temby się można jeszcze było pogodzić, — przynajmniej bowiem oni oddali wszystko, co dać mogli, i to zostało obrócone na pożytek ogółu. Lecz gdy się odrzuca ludzi nawet bez wyciśnięcia z nich soków — być może z obawy przed ich wyższością, — co wynagrodzi niepowetowaną stratę, którą ponosi ojczyzna wskutek bezczynności najlepszych jej sił?“

Zacytowane słowa wyszły z pod pióra Borysa Czyczeryna, zmarłego w Moskwie 3 lutego, w 77 roku życia, i jakkolwiek wypowiadając je, miał on na myśli przedewszystkiem swego przyjaciela, byłego profesora moskiewskiego uniwersytetu i senatora Dmitriejewa, w znacznej jednak mierze mogą one być zastosowane i do nie-

*) Pod tym tytułem („Na slawnem postu“) literaci rosyjscy wydali książkę zbiorową, dla uczczenia 40-letniego jubileuszu działalności literackiej Michajłowskiego.

...robię z tego sprawę poważną i doniosłą, bo lubię patos w życiu.

* * *

I Janusz też bywa niekiedy „dystyngowany.“

„Szanowna Pani! Pozwolę sobie przypomnieć, że w ten poniedziałek upływa naznaczony przez Panią termin Jej decyzyi. Wyrazy najwyższego poważania — Janusz.“

Tak — już czas. Dziś wieczorem idę do Obojańskiego.

* * *

Przychodzę — z gorączką na ustach i chłodem w sercu — właśnie wtedy, gdy Rosławski wyszedł może przed kwandransem, gdyż wieczór ma zajęty jakąś bibą koleżeńską.

W powietrzu łowię jeszcze nozdrzami zapach cygar, które pali; oczarowanie jakieś dreszczem przechodzi mi przez skronie i powieki.

Nie zastawszy go, nie doznaję uczucia zawodu. Mam raczej wrażenie ulgi — że to nie dzisiaj jeszcze.

Obojański opowiada mi, jak bardzo podobam się Rosławskiemu. Jowialnie wyraża nawet przypuszczenie, że jest już we mnie zakochany. Dziś właśnie zapytywał, czemu tak długo nie odwiedzam starego profesora. Jak na takiego człowieka — to już bardzo wiele mówi.

Naogół jednak Obojański jest w nastroju pesymistycznym i wojowniczym. Zarzuca mi, że nazbyt się przejmuję nowymi prądami. Jest to dla mnie nader szkodliwe. Żaden ze współczesnych poetów nie dorównał np. Homerowi. Powinnam trochę gruntowniej wczytywać się w dzieła klasyczne, z których bije zdrowe poczucie harmonii między ciałem i duchem.

— Coraz bardziej zapomina pani o nieporównanej maksymie *mens sana in corpore sano.*

— Ależ owszem, ja wyznaję wszakże kult ciała — tak zdrowego i silnego, by nie upadło pod ciężarem przesubtelnionej, przeczulonej duszy dzisiejszej.

— Tylko, że sama dusza dzisiejsza jest chora.

— Więc mój ideał niechaj brzmi: *w zdrowem ciele — chora dusza* — ta, tak zwana chora.

Ludzie uczeni, myśliciele, którzy kiedyś chyba uczyli się logiki, rozumują analogiami: ponieważ choroba ciała jest odstępstwem od normy, więc dusza, która nie jest typem przeciętnej, jest chora. Jeżeli opierają się na przesłance, że ciało równa się duszy, to poco wogóle o tem mówić?..

Chcę teraz śpiewać, biegać po otwartych, zalanych nizkiem, białem słońcem, polach, krzyczeć.

Dlatego mianowicie, że on kocha się we mnie. I dlatego że ja — wierzę.

I będę wierzyła, póki nie zajdzie słońce. I marzyć będę o radosnem zwycięztwie, bo dotąd znałam tylko smutne.

A jutro wieczorem znowu pójdę do Obojańskiego — drżąca z trwogi...

(D. n.)

go samego. Wielkie, naukowe zdolności, jasność umysłu, stałość i szczerość przekonań, pogłębionych szeroką erudycyą, zupełna niezdolność do jakichkolwiek kompromisów z własnem sumieniem, wielkie umiłowanie własnego społeczeństwa bez śladu szowinizmu — oto wybitniejsze cechy zmarłego uczonego. Jeśli dodamy do tego niezwykłą łatwość i jasność wykładu swych myśli, zrozumiemy, jak niepospolitym i świetnym profesorem musiał być Czyczeryn. Jakkolwiek poglądy wygłaszane przezeń z katedry częstokroć nie odpowiadały nastrojowi i kierunkowi młodzieży, ciągnął ją do audytoryum pełen talentu i nauki wykład profesora, nacechowany, według świadectwa jego uczniów, rzadką bezstronnością i wszechstronnością. „Nie godząc się na wiele zdań profesora, nawet całkiem odrzucając niektóre z jego osobistych poglądów, wypowiadanych w wykładach, słuchacze opuszczali audytoryum z uczuciem zadowolenia, z rozbudzoną myślą, z gotowością do pracy, do nauki, z potrzebą sprawdzenia i rozszerzenia tego, czego w audytoryum wysłuchali, za pośrednictwem czytania i własnej pracy naukowej.“ Jakiekolwiek były poglądy zmarłego, dla uczniów jego „źródło owych poglądów było niewątpliwie czystem, niezmąconem przez żadne wpływy postronne lub pobudki natury nienaukowej.“ Brak miejsca nie pozwala na szczegółowe scharakteryzowanie zapatrywań zmarłego, puścizna bowiem naukowa, po nim pozostała, jest tak obfitą, że wymagałaby obszernego studyum. To też poprzestaniemy na najogólniejszem ich przedstawieniu: pod względem filozoficznym Czyczeryn był idealistą i metafizykiem w poglądach społeczno-ekonomicznych, *laissez-faire*'ystą, niegodzącym się nawet na interwencyę państwa na rzecz ekonomicznie słabszej części ludności w postaci pewnych ograniczeń ekonomicznie silniejszej jej części. Indywidualista, odrzucający np. całe nowożytne prawodawstwo robotnicze, Czyczeryn głosi zasady wolności sumienia i religijnych przekonań, protestuje gorąco przeciwko przymusowej asymilacyi narodowościowej itp.

Jak gdyby stworzony na profesora, zmarły uczony pozostawał na katedrze (w uniwersytecie moskiewskim) tylko od 1861 do 1868 roku, kiedy podał się do dymisyi. Jak on rozumiał zadanie profesora w uniwersytecie, najlepiej widać z listu, którym pożegnał swych słuchaczów. List ten, zachowany w bibliotece uniwersytetu św. Włodzimierza, podał przed paru dniami do publicznej wiadomości w *Russkich Wiedomostiach* profesor tegoż uniwersytetu, p. Romanowicz-Sławatinskij. „Żałuję — pisał opuszczający uniwersytet profesor — żałuję, że muszę się z wami rozstać. Moralne, wzajemne oddziaływanie pomiędzy nauczycielem a słuchaczami stanowi najcenniejszy skarb życia uniwersyteckiego. Nauka daje człowiekowi nietylko zasób wiadomości, lecz zarazem podnosi i uszlachetnia jego ducha. Człowiek wychowany w zamiłowaniu nauki nie sprzeda prawdy za żadne skarby świata... Życzę wam mocno trzymać się tych zasad i rozznieść dobry siew we wszystkie strony ojczyzny, zawsze pamiętać na obywatelski obowiązek, nie zniżać się i nie chylić głowy przed nieprawdą...“

Rozstawszy się z uniwersytetem, Czyczeryn nie rozstawał się do końca życia z pracą naukową: na kilka dni przed śmiercią wyszło w świat nowe wydanie pierwszego tomu jego kapitalnej „Historyi doktryn politycznych“ („Istorija politiczeskich uczenij“), a przed rokiem sędziwy uczony wydał zbiór artykułów w kwestyach polityki bieżącej pod tytułem: „Woprosy politiki.“ Oprócz działalności naukowej Czyczeryn uprawiał i społeczną — przeważnie w charakterze deputata zebrania ziemskiego gubernii Tomskiej; jego działalność w charakterze „głowy“ miasta Moskwy, do której był powołany wyborem radnych miejskich, rozpoczęta w końcu 1881 r., zakończyła się bardzo prędko, bo już w 1883 r. Uniwersytet uczcił uczonego w 1900 r. tytułem członka honorowego. Taki sam tytuł Czyczeryn otrzymał i od uniwersytetu Jagiellońskiego. Rodzina zmarłego odebrała cały szereg telegramów kondolencyjnych — w tej liczbie od senatu uniwersytetu helsingforskiego i dwa z Krakowa: jeden od senatu wszechnicy Jagiellońskiej, drugi od krakowskiego Klubu słowiańskiego.

A. Z—a.

Z Szwajcaryi.

Zaiste, błogosławiony to kraj Szwajcarya, ale nietylko ze względu na swą czarującą przyrodę, która wzbudza podniosłe uczucia i wyzwala ducha, ale także z powodu wysokiego rozwoju społeczeństwa, wysokiej kultury obywatelskiej, mrówczej, staranej pracy oraz wzorowo urządzonych instytucyj.

Rząd Związku — Rada związkowa — składa się z ludzi prostego bytu, skromnych i pracowitych. Muszą oni rozstrzygać nieraz bardzo subtelne sprawy i wykonywać władzę, od której skuteczniejszej i zdolniejszej trudno znaleźć, jak o tem twierdzą, znający się na rzeczy politycy (sir Rumbold). Rada związkowa jest całkiem niezależną od programów partyjnych, nie opiera swej działalności na gabinetach rządzących, współpracują w niej ludzie najrozmaitszych przekonań, nie przeszkadzając sobie wzajem, zestrzeleni w wysiłkach dla dobra białego krzyża. Radcy mają bardzo skromne utrzymanie i żyją w bardzo skromnem otoczeniu, wśród twardej pracy, zdala od wiru świata. Oto próbka ich działalność. W 1903 r. Rada związkowa odbyła 115 posiedzeń (w 1902 r. — 124) i przez ręce jej przeszło 5,747 numerów spraw (1902 r. — 5,303). Zajmuje się ona tem wszystkiem, co dotyczy całego Związku, oraz rozstrzyganiem sporów i spraw pomiędzy oddzielnymi kantonami.

Oto kilka liczb, dotyczących gospodarki Związku. Dochód z cła wynosił w 1903 r. 53,361,589 fr. (o 3 miliony więcej, niż w r. 1902). Wydatki urzędu celnego 5 mil. fr. Urząd celny liczył 631 urzędników i 1,194 oficyalistów i służby pomocniczej na $3^1/_3$ miliona ludności i 41,469 kilom. obszaru Związku. Przychód z cła od 1850—1903 r. wynosi więcej niż miliard fr. Powszechnie wiadomo, jak wzorowo urządzoną jest poczta w Szwajcaryi. Przychód z niej wynosił w 1903 r. 40,767,701 fr., zysk zaś czysty $3^1/_2$ mil. fr. Przesłano listów 103,920,000 (w 1902 r. — 103,598,500), kart pocztowych 53,541,000 (1902 — 49 mil.), czasopism 132,171,700 (126,684,000). W całem państwie znajdowało się 1,673 biur pocztowych (1902 r. 1,589) i 11,433 urzędników i oficyalistów. Długość dnia roboczego na poczcie nie powinna podług ustawy przewyższać 10 godzin na dobę. W wyjątkowych wypadkach dozwolono 12 godzin, lecz obecnie zastosowano nowe prawo do zarządu poczt, na mocy którego 11 godzin uznano za najdłuższy czas. Z liczby 3,700 urzędników, wybieralnych co pewną ilość lat, odrzucono w ubiegłym roku tylko 3, jako niezdolnych.

Każdy z 25 kantonów, składających Związek, przedstawia oddzielne państewko, posiada osobne prawa i w swojej sferze rządzi się samodzielnie. Jednym z wybitniejszych pod względem rozwoju handlu i bogactwa narodowego jest kanton Zurichski. Obejmuje on ogółem 431,000 ludności (1900 r.), złączonej w najróżnorodniejsze stowarzyszenia, od których roi się w Szwajcaryi. Cechą charakterystyczną Szwajcarów jest dążność do życia zrzeszonego i trwałość tych stowarzyszeń. W samym Zurichu, największem mieście szwajcarskiem, liczącem 151,000 mieszkańców (1900 r.), jest około 850 stowarzyszeń, w tej liczbie 125 zawodowych, 121 dobroczynnych, 87 śpiewackich, 66 dla uprzyjemniania czasu, 32 naukowych i sztuki, 32 polityczne, 30 gimnastycznych, 13 dramatycznych.

Czytelnictwo jest silnie rozwinięte, każdy trzyma gazetę, a w domach chłopskich*) znaleźć ich można po kilka, a nawet kilkanaście. W 1903 r. wychodziło w Zurichu 120 czasopism, między niemi jedno, które wychodzi od 1675 r., 2 zaczęto wydawać w XVIII wieku, 25 — przed 1879 r., 75 — w czasie od 1880—1899 r., 17 od 1900 do 1902 r. Jedna z tych gazet drukuje się w 50 tys. egzempl., 5 w ilości 5—10 tys., 64 od 1—10 tys. egz. W liczbie czasopism istnieje 9 dzienników, 45 tygodników, 23 dwutygodniki, 24 miesięczniki. Uderzającą jest poczytność niektórych dzienników, jeden egzemplarz np. najpoczytniejszego pisma, zapełnionego coprawda przeważnie ogłoszeniami, przypada na 9 mieszkańców.

O rozwoju czytelnictwa świadczy też obfitość bibliotek. W Zurichu istnieje 11 bibliotek naukowych. Katalog biblioteki miejskiej liczy około 175,000 tytułów. Prócz tego jest też jeszcze 13 bibliotek oraz czytelni prywatnych i publicznych. Dla ułatwienia pracownikom poszukiwań istnieje osobna instytucya Katalogu Centralnego, kartkowego 14 głównych bibliotek.

Demokratyzacya Szwajcarów w stosunkach osobistych posunięta jest daleko. W obejściu towarzyskiem niema zwyczaju robić różnicy z powodu nierówności położenia społecznego. Często za jednym stołem zasiadają ludzie rozmaitych klas i rozmaitych stronnictw politycznych i, co najważniejsza, obcują ze sobą w zgodzie.

Jak daleko posuniętą jest wyrozumiałość i tolerancya Szwajcarów, świadczy stosunek ich do demokracyi społecznej. Ogół nie lubi tego kierunku, a jednak szerzy on się bez walki rewolucyjnej, wywiera nacisk na rząd i przynosi pod pewnymi względami dobre owoce. Pod wpływem ruchu społecznego utworzono w Zurichu z ramienia zarządu miasta specyalny „Urząd pracy,“ instytucyę w rodzaju giełdy pracy, która ułatwia pośrednictwo pomiędzy podażą i popytem w tej dziedzinie. O działalności tego urzędu można powziąć pewne wyobrażenie z następujących liczb, wyjętych ze sprawozdania za miesiąc styczeń r. b. Wpłynęło 1,953 podań o pracę, z nich 1,478 od mężczyzn i 475 od kobiet. Z pośród poszukujących pracy 828 osób było w stanie wolnym, 1,125 w stanie małżeńskim. Obywateli szwajcarskich zgłosiło się 1,282 i cudzoziemców 671. Ze strony pracodawców wpłynęło 886 podań, z nich 338 dla mężczyzn i 548 dla kobiet. Miejsc wolnych było 1,273. Rozdano zajęcia 951 osobom, co wynosi 75% żądanych sił roboczych i 49% podań robotniczych. Ruch osób doszedł w biurze w przeciągu stycznia do 10,244. Od 1 marca r. b. otwarto kantonalne pośrednictwo pracy, którego centralnymi organami są urzędy w Zurichu i Winterturze. Liczby powyżej podane przedstawiają prawdziwą, istotną korzyść, jaka z tej instytucyi wynika. Przykład godzien naśladowania.

Na zakończenie korespondencyi muszę jeszcze zanotować wiadomość, świadczącą o zabiegliwości rządu kantonalnego o dobrobyt mieszkańców. W cyrkularzu dy-

*) Chłopów szwajcarskich nie można porównywać z naszymi, są to w znacznej części farmerzy, posiadający częstokroć wysokie wykształcenie i zajmujący nieraz poważne urzędy obywatelskie.

rekcyi robót publicznych, wystosowanym do gmin kantonu, czytamy, że Rada rządząca kantonu zajęta jest wyzyskaniem sił wodnych. W najbliższym czasie ma być urządzona w Etzel stacya przetwarzająca siłę wodna w elektryczną. Dla stwierdzenia możliwego zapotrzebowania energii elektrycznej, zażądano od gmin przedstawienia odpowiednich życzeń do rządu, dotyczących oświetlenia ulic i dróg, lokalów gminnych, fabryk, domowego przemysłu, spółek wytwórczych, rolniczych, kolei miejscowych, oraz mieszkań osób prywatnych. Chodzi o wyjaśnienie ogólnego zapotrzebowania kantonu wobec zamierzonego wyzyskania sił wodnych Renu. Ta sprawa racyonalnego i taniego zaopatrzenia się w energię elektryczną, którą obecnie stosuje się już nawet i w domowem gospodarstwie do gotowania, rozgrzewania żelazek i t. p., nie mówiąc już o tem, że niejeden rolnik oświetla swe spichrze i stodoły elektrycznością, — leży oczywiście w ogólnym interesie gmin kantonu i prywatnych posiadaczy.

A. Wróblewski.

Jak nas sądzą?..

Wypadki historyi bieżącej zwróciły uwagę ludów europejskich na świat słowiański i pobudziły do wypowiadania o nim ciekawych sądów i notowania nieoczekiwanych spostrzeżeń. Zajmujące poglądy o charakterze, życiu i umysłowości Słowian wogóle, a Polaków i Rosyan w szczególności, zamieścił Emil Reich w miesięczniku angielskim *Fortnightly Review* za marzec roku bieżącego. Przedstawiamy je tu czytelnikom naszym w obszernem streszczeniu, aby dać im możność przekonania się naocznie, za co nas mają naprawdę i jak nas sądzą ci, których zdawkową uprzejmość chcemy koniecznie uważać za rzeczywiste uznanie.

Chociešmy się dotąd upierali — mówi E. Reich — przy twierdzeniu, że Słowianin nie jest Europejczykiem, przyjrzawszy się mu bliżej, musimy przyznać, że należy do tej samej rodziny, co większość ludów europejskich. W jego mowie niema dźwięków obcych dla ucha zachodniego, a filolog odnajdzie w niej z łatwością dowody bliskiego pokrewieństwa z językami ludów indo-europejskich: znane słowa i brzmienia, łatwo dające się ująć końcówki i odmiany wyrazów, z którymi zapoznał się przy studyach nad greckim i łaciną.

Jeszcze silniej za tem pokrewieństwem przemawia powierzchowność Słowianina: jasne włosy, błękitne oczy, biała skóra, którą przywykliśmy uważać za cechy krewniaków naszych typu teutońskiego. Choć znowu, jeśli wnikniemy w głąb jego duszy, uczucie braterstwa względem niego znacznie w nas zmaleje.

Przed tysiącem lat zamieszkiwały ludy słowiańskie cały wschód Europy od rzeki Elby. Ten obszar ziemi należy uważać za ich własność; także w dorzeczu dolnego i środkowego Dunaju rozsiedli się gęsto. Pod względem językowym stanowią oni trzy grupy: południową, środkową i północną. Charakter wszystkich zawiera mnóstwo cech wspólnych, wśród których rysem uderzającym jest nadmierna wrażliwość i skłonność do błędnych uniesień, naprzemian z napadami najgłębszej melancholii. Ich muzyka i pieśń jest żywem odzwierciedleniem tego nastroju ducha. Od wyrażenia najwyższej rozpaczy przeskakują do najszaleńszej wesołości. Naogół zaś Słowianin odznacza się bardziej chytrością i przebiegłością, niż rzeczywistą inteligencyą. Do celu zmierza chętniej drogą podstępu, niż szczerości. Ta sama krańcowość, którą znajdujemy w jego uczuciowości i charakterze, daje się też zauważyć w oświacie. Klasa wyższa odznacza się u wszystkich ludów słowiańskich nadmiernem wykształceniem, przeciążeniem umysłów wiadomościami, nawet wśród kobiet, które bardzo licznie poświęcają się studyom i zajmują nieraz wysokie stanowiska naukowe. W tym względzie znajomość wielu języków stanowi znaczne dla Słowian ułatwienie. Szybkość, z jaką się uczą obcej mowy, błędnie sobie jednak tłomaczono wygimnastykowaniem na trudnościach własnej. Języki słowiańskie nie przedstawiają żadnych trudności, nie posiadają, pomimo pozornego bogactwa słów i odmian, tej giętkości i subtelności, co język angielski, niemiecki, a nadewszystko francuski, choć uboższy w formy wyrazów. Lingwistyczne zdolności Słowian wynikają z ich poliglotycznego otoczenia. W każdym domu słowiańskim gromadzi się ludność wielojęzyczna — domownicy z miejscowych żywiołów i cudzoziemcy, których mowy uczyć się trzeba dla uzupełnienia braków swojej. To też Słowianie znają doskonale i często lepiej, niż my sami nasze literatury i dzieła naszych uczonych. Herbert Spencer napewno tyleż jest czytany w Rosyi, co w Anglii.

Jeśli jednak z klas wyższych przeniesiemy wzrok na niższe, to tam spotkamy się z najzupełniejszem przeciwstawieniem stanu pierwszych — z rzeczywistą ciemnotą. Chłop słowiański zdumiewa martwotą swego umysłu. Mieszczaństwa niema tu zaś wcale. Tak w życiu społecznem, jak umysłowem i uczuciowem, Słowianie nie znają środka, tylko ostateczności.

Ponieważ niema właściwej klasy średniej tylko szlachta i chłopi przeto życie miejskie rozwinięte jest bardzo słabo. Kraje słowiańskie zamieszkuje głównie ludność rolnicza: niezbyt liczna i niezbyt bogata szlachta oraz chłopi, zależni materyalnie od większych właścicieli. Wskutek braku rodzimego mieszczaństwa cały handel zmonopolizowali Żydzi i przybysze cudzoziemscy. Wydalenie pierwszych groziłoby zupełną ruiną kupiectwa, o ile nie zastąpiliby ich drudzy.

Wśród ludów słowiańskich najgłówniejszymi są Polacy i Rosyanie. Pierwsi w w. XVI i XVII stanowili potężne i rozległe państwo, którego hołdownikiem był elektor brandenburski. Lecz zgubiły ich wady charakteru narodowego, błędy dyplomatyczne, zła polityka i złe urządzenia wewnętrzne: nieograniczone przywileje, przysługujące niewielkiej cząstce ludności i pozbawienie mas wszelkich praw.

Lecz największem nieszczęściem Polski są jej kobiety. Polki są piękne, zwycięzkie, nic im się oprzeć nie może. Mają oczy błyszczące i wdzięk Francuzek, lecz są od nich głębsze, bardziej imponujące i w rozmowie ciekawsze, szczególniej niebezpieczne, kiedy w dźwięcznym swym języku wymawiają *ł*; przed czarem tego brzmienia tylko ucieczka ratuje, jak mawiał Liszt. Skłonność i upodobanie do intrygi właściwe każdemu Słowianinowi, w Polce rozwinęło się w sztukę najwyższą, której ona poświęca całe istnienie. Lecz w życiu domowem, w gospodarstwie wartość jej równa się zeru. Żyje jak motyl: ponętna, interesująca w salonie, niezdolna i niedbała w warunkach codziennej egzystencyi. W chwili podnieconej namiętności gotowa jest do wszystkiego, do czynów bohaterskich nawet na polu bitwy, lecz jednocześnie trapi ją głód rozkoszy i użycia, który robi z niej istotę niezdolną do wszelkiej pracy. Potęga jej wpływu jest jednak niezwalczona i słusznie niedawno kanclerz niemiecki nazwał Polki największem niebezpieczeństwem dla germańskości wschodnich kresów państwa pruskiego.

Rosya to także państwo rolnicze, którego zabory w ostatnim stuleciu posuwały się wyłącznie w kierunku wschodnim, po za granice Europy. Mylnie wyobrażamy sobie, że te nabytki składają się głównie z jałowych i bezludnych stepów. Bogatej, urodzajnej ziemi jest tam dość dla osadnictwa rolnego w najpomyślniejszych warunkach. Działalność też Rosyi zapowiada się w kierunku kulturalnym przez wiele pokoleń w przyszłości. Chłop rosyjski nadaje się przedziwnie do zadań kolonizacyi. Wskutek swej niskiej oświaty ma tę wyższość nad każdym innym Europejczykiem — kolonistą, że bez wstrętu zlewa się z ludnością tubylczą przez małżeństwo. Odznacza się też nadzwyczajną płodnością w czasach spokojnych, tak że można przewidywać w przyszłości, po upływie wielu stuleci, zupełne zrusyfikowanie wszystkich ludów, zamieszkujących to olbrzymie państwo.

Co Rosya zdziała w dziedzinie umysłowej dla celów cywilizacyjnych w przyszłości, jest jednem z najciekawszych zagadnień. Czy zdoła wytworzyć nowy typ kultury, inny, lecz nie mniej cenny, niż angielski, francuski i niemiecki? Na tej drodze ma ona wiele przeszkód do zwalczenia, musi przejść te same stopnie rozwoju, przez które przeszły stare cywilizacye reszty Europy.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Konkursy z bezwzględnością.

Trzy konkursy literackie zostały w ostatnich tygodniach rozstrzygnięte bez przyznania pierwszej nagrody, dla której nie znaleziono między nadesłanymi utworami „bezwzględnie dobrych.“ To wymaganie dzieł „bezwzględnie“ lub „bezwarunkowo dobrych“ jest ciągle powtarzającem się zastrzeżeniem przy wszystkich niemal konkursach naszych, dzięki któremu pierwsza nagroda pozostaje kawałkiem sadła, wysoko zawieszonym dla łaszących się do niego kotów. Otóż twórcy tej prawie nigdy niezdobywanej przynęty powinniby zastanowić się: czy już nie czas zakończyć śmieszną farsę? Przedewszystkiem gdzie są prace „bezwzględnie dobre“? Jeżeli zaś pod tą nazwą mamy rozumieć arcydzieła, to czy nie jest wprost dziecinnem żądanie, ażeby każdy konkurs wyprowadził na arenę geniusza?... Gdyby tak było, to tanim kosztem za cenę 100 lub 500 rb. możnaby nasprawiać sobie dzieł „bezwarunkowo dobrych“ tyle, ile dusza zamarzy. A jakie by to stało się nieszczęście, gdyby ta skromna sumka dostała się wykonawcy równie skromnej roboty? Kapitalistyczny fetyszyzm dla rubla nadał tym pierwszym nagrodom jakąś szczególną wartość, z którą mogą się równoważyć tylko nadzwyczajne czyny. Przetrzyjmy oczy z tego olśnienia a zobaczymy, że są to bardzo mizerne zapłaty za ciężki trud. Laureat, który w konkursie dostanie 100 rb. za miesiąc pracy, jest chyba dość nędznie wynagrodzony, ażeby potrzebował jeszcze zdobywać się na dzieła epokowe. Doprawdy rozdawcy stutysięczno - frankowych nagród Nobla mniej są wymagający, niż nasi poszukiwacze „utworów bezwzględnie dobrych“ za kilkaset rubli.

To niewątpliwie nasze.

Odbieramy list następujący:

„Jeden z ogrodników — mówi ich organ — prosił swego chlebodawcę, ażeby

mu zaprenumerował pismo ogrodnicze, jakie uzna za najlepsze. Ten mu odpowiedział: „Patrz pan, jakie u mnie buraki, jaka pszenica, jakie konie i woły — i worek nie pusty, a jednak ja żadnego pisma rolniczego nie prenumeruję; na co panu zawracać sobie głowę tymi konceptami zagranicznymi? Jeżeli pan masz czas i chcesz, żeby ci gęba, ręce i nogi odpoczęły, weź lepiej trylogię Sienkiewicza, dowiesz się, jak nasi przodkowie ciągnęli ze dzbana, jak tłukli i jak smalili koperczaki."

Jest to niewątpliwie obrazek nasz, swojski. Unikać nauki, uważać ją za szkodliwy a co najmniej bezużyteczny wymysł, karmić swój rozum we wszystkich wypadkach powieściami — tak robiliśmy zawsze i robimy dotąd. Ale z drugiej strony bądźmy sprawiedliwi względem naszego błędnego hasła: nie lubiąc nauki, nie wytwarzamy jej. Ów chlebodawca, radzący swemu ogrodnikowi kształcić się na powieściach Sienkiewicza, był śmiesznym, ale czy lepiej zbogaciłby jego wiedzę, gdyby mu był kupił np. podręcznik p. Radło? Ta książka wyszła obecnie w drugiem wydaniu, a jest wiązką bredni, które zebrał nieudolnie ktoś, znający zajęcia ogrodnicze chyba z zaglądania przez płot. Czy taka ramota powinna się rozchodzić po kraju i bałamucić ludziom głowy?

Przeciw pojedynkom.

We Lwowie zawiązała się „Liga dla ochrony czci osobistej" — a właściwie stowarzyszenie przeciwpojedynkowe. Wiadomo, że społeczeństwa, zajmujące najwyższy stopień kultury, północno-amerykańskie, angielskie i skandynawskie, pozbyły się już tego barbarzyńskiego zwyczaju, który zresztą nawet na stałym lądzie Europy liczy mniej zwolenników, niż steroryzowanych przez niego, nie mogących się zdobyć na czyn niezależny. Bo rzeczywiście potrzeba dziś jeszcze dużej odwagi, ażeby odmówić „wyzwania" i traktować je jako zwyczajną napaść. Więc biją się z orężem w ręku o swój honor nietylko ci, którzy w ten sposób chcą walczyć, ale w ogromnej większości ci, którzy z najwyższą odrazą i wstydem ulegają tyranii przesądu. Liczba jego ofiar poległych jest tak mała, że w ich interesie nie warto byłoby wszczynać hałasu. Ale tu chodzi o coś więcej, mianowicie o podtrzymanie uczuć ogółu w stanie dzikości, o sztuczne hodowanie zamarłych wyobrażeń, które skutkiem naturalnego rozwoju zanikły w umyśle ludzkim.. Przynosi to rzetelny zaszczyt Galicyi, że ona zdobyła się na uorganizowanie przeciwdziałania niedorzecznemu zwyczajowi, a z udziału niektórych osób w składzie ligi wnosić można, że potrzeba tępienia go przeniknęła nawet do kół arystokratycznych, w których najsłabiej się dotąd odzywała. Kiedyż to u nas ten śmieszny przeżytek zacznie usuwać się z życia?

Krzywda im się dzieje!

W *Kuryerze Warszawskim* czytamy:

„Zarząd Tow. wyścigów konnych w Królestwie Polskiem zwrócił się z podaniem do głównego zarządu stadnin państwowych z prośbą o wyjednanie u władz zmniejszenia 5% opłaty z wygranych totalizatora na rzecz szpitali miejskich na 2%. Zarząd Towarzystwa dowodzi, że opłata 5% jest wysoką, wynosiła bowiem w pierwszym roku 100,000 rb. i oddziałała na zmniejszenie się obrotów totalizatora o 60,000 rb. Skutkiem tego zarząd zmuszony był na r. b. obciąć sumę na nagrody prawie o 50,000 rb., oraz inne wydatki na cele hodowlane."

Przyłączamy się do arcy-słusznego żądania nieszczęśliwego Zarządu Towarzystwa wyścigów konnych. Czyż to nie oburzające w najwyższym stopniu, że szanowni gracze w totalizatora mogą mieć o tak wielką sumę zmniejszone rozkosze wrażeniowe, a przedstawiciele naszej śmietanki aż o 50,000 rb. mniej do podziału z czarno i czerwono-skórymi dżokejami?!

I to dla kogo i w jakim celu?

Dla leczenia jakichś tam kilku tysięcy łapserdaków, którzy może ani razu w życiu nie kupili biletu na wyścigi!

Żeby choć ta ofiara mogła znieść w zupełności biedę i chorobę, możeby szan. zwolennicy totalizatora zawahali się przez chwilę. Wszak to bardzo niemiłe, wracając z wyścigów lub jadąc na kolacyjkę, ustępować z drogi jakiejś karetce Pogotowia. Wieleż to razy pędzi ona do waryatki, co pod pozorem nędzy wyskoczyła z trzeciego piętra, albo do udawacza, który niby już przez trzy dni nic nie jadł.

I to jest dostatecznym powodem, żeby stangreci musieli usuwać się przed nią i psuć dobrego klusa, narowiąc rasowe konie!

Czy szpitale dostaną te sto tysięcy, czy nie dostaną, jednakowo będą musiały jakoś istnieć i jednakowo będą odmawiały miejsca różnym zdechlakom.

Czyż warto więc ponosić tak ciężką ofiarę i psuć sobie zabawę?

Dodamy od siebie jeszcze jedno zapytanie: Czy szan. Zarząd Tow. wyścigów konnych jest pewnym, że właśnie ten podatek szpitalny wpłynął na zmniejszenie obrotów totalizatora?

Może to jest prostym wynikiem wzrastającego rozumu u ogółu naszego społeczeństwa, lub też (co prawdopodobniejsze) coraz większej golizny? *Kropka.*

Zawiedziony.

„W Warszawie wszyscy są płytcy, powierzchowni i myśleć im się nie chce, stąd ciągłe błyskotliwe, lecz zarazem bezcelowe gawędy" — ubolewa jedno z pism codziennych. Kto się, łaskawy panie, do tego najwięcej przyczynia?

Kto zamiast pomagać społeczeństwu w rozwoju, zamiast szerzyć światło i jasność, młóci tylko pustą słomę, biada nad upadkiem moralności, opisując skrzętnie każde poruszenie się byle aktorki z Nowości? kto załamuje ręce nad rozestetyzowaniem się społeczeństwa, uważając plotki zakulisowe za przejęcie się sztuką? Kto podtrzymuje stare, zleżałe hasła i wartości zamiast je burzyć i używać do tworzenia nowych? Kto, miły panie, wzdycha do idylli p. Z. Przybylskiego i z wstrętem odwraca się od wszelkich objawów budzenia się społeczeństwa do nowego życia? Kto swem nieuctwem i ciasnotą przyczynia się bardziej do wyjałowienia umysłów, paczenia serc? Kto silniej broni zastoju i zgniłego powietrza??....

Trochę cyfr.

W krótkim artykule w *Gaz. Polskiej* podaje dr. Polak dane cyfrowe z budżetu większych miast w Europie. Suche te cyfry zawierają w sobie sporo materyału do charakterystyki współczesnych stosunków. Wśród wydatków, pokrywanych z funduszów miejskich ważne miejsce zajmuje rubryka zdrowotności i porządków. Dbałość o polepszenie warunków sanitarnych ludności skupionej w wielkiej ilości na ciasnym kawałku ziemi, wymaga wielkich kosztów i zabiegów ze strony zarządów miejskich. Miasta nasze ustępują wielce pod tym względem zachodowi. Nie mówiąc już o miastach i miasteczkach prowincyonalnych, Warszawa i Łódź zajmuje w wykazie dr. Polaka skromne miejsce. Warszawa wydaje na te cele prawie tyle, co Petersburg i Moskwa na jednostkę ludności, trzy razy mniej, niż Berlin i jeszcze mniej w porównaniu z miastami angielskiemi. Łódź wydaje cztery razy mniej od Warszawy, a 16 — od Wrocławia, mającego mniej więcej tę samą liczbę ludności.

Drugą ważną rubrykę budżetu miast stanowią wydatki na szkolnictwo. Warszawa i Łódź zajmują i tu poślednie miejsca. Warszawa wydaje na oświatę 1,2 fr., na jednostkę, a Łódź 0,2 fr., podczas gdy Petersburg 2,8 fr., Moskwa 3,8 fr., Kijów 4,4 fr., Monachium 10 fr., Berlin 15 fr., Poznań i Wrocław 20 fr. Wydajemy na szkoły mało, lecz za to utyskujemy na nożownictwo i upadek moralności i zajmujemy wybitną pozycyę w rubryce wydatków na policyę. Na ten cel wydaje Warszawa 11% swego budżetu, podczas gdy Łódź 8%, Kijów 6%, Moskwa 0,8% Petersburg 0,9%, Wiedeń 1%, Berlin 2,6%. Blizkim Warszawie jest Paryż, lecz tam w wydatkach na policyę obliczone są i koszta utrzymania sądów policyjnych.

BADANIA NAUKOWE.

Wit Stwosz

*i jego szkoła w Niemczech, Polsce i na Węgrzech *).*

W czasie kiedy ogromna część dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego usiłuje wydrzeć z korzeniem całą odrębność kultury polskiej na ziemiach, obecnie Prusakom podległych, kiedy z ust, spienionych nienawiścią, płyną zdania o barbarzyństwie plemienia polskiego, kiedy szalejący szowinizm nie cofa się przed najordynarniejszem przypuszczeniem, byle tylko ono służyło, jako historycznie uprawniony motyw do popełniania gwałtów, książka Bertholda Dauna jest zjawiskiem niezmiernie znamiennem.

Autor jej nie jest naszym przyjacielem. Jako Niemiec współczesny, zna swoje społeczeństwo doskonale i wie, że racya stanu niemiecko-pruska ważniejszą jest od wszystkich słów bodajby najsprawiedliwszego uznania dla roli, jaką w cywilizacyi światowej odegrało społeczeństwo polskie. Berthold Daun nauczył się po polsku, aby mógł rozumieć i zużytkować materyał wydobyty z pyłu zapomnienia przez polskich uczonych i ogłoszony w naszym języku w wydawnictwach Akademii.

Zaraz na wstępie kwituje on to wzbogacenie umysłu o jeden znienawidzony język słowiański następującem zdaniem: „Niemiecką w XV w. była mowa urzędowa (!) w Polsce, jak to akta stwierdzają; dzisiaj Galicya jest zupełnie polską, a polscy historycy sztuki w pożałowania godny sposób wolą sprawozdania komisyi historyi sztuki pisać po polsku, niż ogłaszać je w języku zrozumiałym dla każdego uczonego europejskiego i w ten sposób uczynić dostępnemi badaniom historyczno-artystycznym. Nie dziwić się więc, że to, co w ostatnich dziesiątkach lat ze strony polskiej zostało o Stwoszu na jaw wydobytem, było przez Niemców przeoczone i nieznane" (str. 3).

Berthold Daun nie może powstrzymać się, aby na rzecz dzisiejszej niemieckiej racyi stanu nie popełnić drobnego, może zresztą z ignorancyi wypływającego, fałszerstwa historycznego. W Polsce język niemiecki nie był urzędowym nigdy. Język magistratury miast naszych, którym długi czas, dzięki zagwarantowanemu przez królów samorządowi, wolno było używać w protokółach i dokumentach urzędowych języka niemieckiego, miesza Daun z językiem państwowym dawnej Rzeczypospoli-

*) Berthold Daun: „Veit Schule in Deutschland, Polen und Ungarn." Leipzig, 1903

nej. Ta „omyłka“ historyka sztuki, obowiązanego znać doskonale tło narodowe i społeczne, z którego wyrasta artysta i dzieło sztuki, cechuje doskonale umysłowość dzisiejszego typu uczonych niemieckich.

W drobnostkach systematyczny, pozornie sumienny i dokładny, w rzeczach wielkich ignorant lub sługa sprawy z nauką ścisłą nic wspólnego niemającej — oto typ uczonych, których zadaniem społecznem jest wyszukiwać „naukowe“ racye dla działalności germanizacyjnej policyanta i żandarma pruskiego na ziemiach odwiecznie polskich.

Takiemu panu niewinna owca polska już tem wodę mąci, że Galicya *ad majorem gloriam Germaniae* nie zniemczyła się dobrowolnie i badania naukowe w ojczystym języku ogłasza.

Arogancya taka tem więcej jeszcze w oczy wpada, że jak wiem z najlepszych źródeł, to, co jest istotnie wartościowe w książce Dauna, opiera się na badaniach autorów polskich, zwłaszcza prof. Maryana Sokołowskiego.

To, co dla Niemców jest w robocie Dauna rzeczywiście nowem, zwłaszcza ustęp o Stanisławie Stwoszu, synu i dziedzicu talentu Wita Stwosza, nie istniałoby nawet, gdyby nie przełomowe prace prof. Sokołowskiego i objaśniające p. Puszeta. W ustępie o przypisaniu bezimiennego pomnika w Gnieźnie arcybiskupowi Gruszczyńskiemu, odtworzonemu w kamieniu niewątpliwie przez Wita Stwosza, powtarza Daun słowo w słowo rozumowania Sokołowskiego, *nie cytując* go ani razu. Znamienne.

Natomiast oryginalna teorya, przypisująca ołtarz w kościele św. Floryana Stanisławowi Stwoszowi *w całości*, nie świadczyłaby tak znowu o bystrości sądu i oka, wobec tego, że ów ołtarz jest złożeniem kilku rzeźb różnego pochodzenia.

Lecz przyjrzyjmy się bliżej książce Dauna o Wicie Stwoszu.

Czterysta lat temu żył i działał wielki mistrz krakowski, nieśmiertelny autor ołtarza w kościele Maryackim. Oblicze jego artystyczne napoły niemieckie, napoły polskie, jest takiem, jakiem było mieszczaństwo nasze z końca wieków średnich. Niemieckiem pochodzenie, ale polskiem tło kulturalne i temperament z krwią matek Polek przyniesiony.

Takim był i Stwosz.

Miejsce jego urodzenia do dziś pozostaje zagadką, dokument znaleziony w roku [illegible] za ołtarzem maryackim nazywa go „magister Vitus Almanas de Norimberga.“ [illegible] jednak „Vitus Almanus de Norimberga“ pierwsze swoje i to artystycznie najwyższe prace w r. 1477 wykonywa *w Krakowie* dla kościoła Maryackiego. Nawet Daun zwraca na to uwagę, że go mieszczaństwo krakowskie już musiało w swem mieście znać z prac poprzednich, jeśli mu powierzyło tego rodzaju robotę, jako młodemu, trzydziestokilkoletniemu artyście.

Od tej chwili staje się Wit Stwosz nietylko snycerzem mieszczaństwa. Talent jego przełamuje zapory ówczesnych grup społecznych; mistrz Wit rzeźbi i tnie grobowce dla takich ludzi, jak Zbigniew Oleśnicki, jak arcybiskup Gruszczyński, ów poplecznik króla Kazimierza Jagiellończyka w jego walce z duchowieństwem. Jemu nawet humanista, Włoch Filippo Buonacorsi, zwany inaczej Kallimach, potęga ówczesna na dworze polskim, każe rzeźbić grobowiec dla Piotra z Bnina, biskupa w Włocławku, nie bacząc na swoje z pewnością renesansowe gusta, niezgodne z zasadniczym charakterem gotyckim, w jakim powstawały prace Stwosza.

A kiedy Kazimierz Jagiellończyk, a za nim Filippo Buonacorsi skłonili głowy na spoczynek wieczny, to znowu był mistrz Wit tym, z którego ręki powstały grobowce, owe artystyczne znaki ich potężnego życia na ziemi. W r. 1477 do 1496 płyną do niego zamówienia w Krakowie tak, że z powrotem do Norymbergi wiezie z sobą moc oszczędności, umożliwiających mu w drugiem mieście ojczystem poczesne życie. Ale nawet tam, do Norymbergi biegnie za nim to tło świetne, kulturalne ówczesnej Polski. Polscy rycerze, polska szlachta ze swym strojem typowym, wyrazem twarzy, wąsem zawiesistym, nosem potężnym, kościstą twarzą i zamaszystością prawdziwie polską widnieje na płaskorzeźbie, wyobrażającej wzięcie Jezusa w kościele św. Sebalda w Norymberdze.

Ten temperament nerwowy, tak przenikający dzieła Wita Stwosza, nie mógł ujść uwagi Dauna, który „wiele polskiego widzi w rysach znamionujących Wita“ (s. 3).

A charakter polski, według Dauna, to „duma rycerska i gonitwa za sławą,“ które to cechy Polak po dziś dzień zachował. Zresztą na usposobienie polskie Wita rzuca wybitne światło i ta okoliczność, że dziedzic jego imienia, sławy i talentu nosił imię Stanisław (żona Wita, Barbara, była Polką z rodu), imię głośne patrona Polski i męczennika, wówczas czcią otoczone niezwykłą, którego historya odtworzona też w rzeźbie przypisanej przez Dauna Stanisławowi Stwoszowi, była wtedy najulubieńszym może motywem artystycznego tworzenia w Polsce.

Głównem zaś źródłem twierdzenia Dauna, że ołtarz św. Stanisława, dziś w Muzeum narodowem w Krakowie, musi być dziełem Stanisława, a nie Wita Stwosza, jest wyłącznie polsko-słowiański typ twarzy u wszystkich prawie postaci tam przedstawionych, świadczący o jego, już ze krwi płynącem, powinowactwie artystycznem z Polską, w której ówczesny „Kraków był głównem siedliskiem sztuki i gdzie korzeniami tkwiło drzewo rozgałęzionego życia artystycznego“ (str. 122).

Wpływ Polski ówczesnej sięgał aż do Siedmiogrodu, stąd być może, że Wit Stwosz dostał się do Krakowa, bo stamtąd, z Harro, niedaleko Sybinu (Hermannstadt), przybywa w r. 1482 do Krakowa brat jego, złotnik Maciej, który umarł w r. 1534. Do Siedmiogrodu powracają też trzej inni synowie Wita, bracia Stanisława Stwosza.

Tem tłomaczy się ta dziwna wspólność szkoły snycerskiej z końca XV stulecia, która tkwiąc w Krakowie i gnieżdżąc się w miastach podgórskich i spiskich, sięgała gałęziami do Węgier i do Norymbergi. Cechą zaś tej szkoły rzeźbiarskiej i jej znamieniem zasadniczem było dziwne przeniknięcie wpływów włoskich, renesansowych, z gotyckimi, miejscowymi, co tylko w Polsce było możliwe.

Kiedy Niemcy wobec renesansu zachowywali się odpornie, polskie społeczeństwo brało pełnemi garściami wszystko, co płynęło ze złotej, słonecznej Italii.

Wit Stwosz mimo form gotyckich, jest już z ducha twórcą renesansowym. Nawet jego wszechstronność, jako rzeźbiarza-snycerza, rytownika i malarza, przypomina pełne, silne natury doby Odrodzenia. Na pomnikach jego w cechach drugorzędnych pełno motywów, świadczących o obyciu się z formami renesansu! P. Daun zupełnie się myli, przypisując Adamowi Krafftowi z Norymbergi ślady Odrodzenia na bronzach krakowskich, byle tylko wyłączność gotycką zachować dla Stwosza.

Wszak aniołki, herby, litery łacińskie, dalej łuk okrągły w środkowej części ołtarza Panny Maryi są to rzeczy tak wybitnie mówiące o duchu sztuki z końca XV wieku, że wprost niemożliwem jest, aby im nie uległa wrażliwa, artystyczna natura Stwosza, który właśnie wtedy bawił w Krakowie, kiedy się wpływy włoskie łamały z gotycyzmem.

I ta dwoistość charakteru twórczości Stwosza, ta mieszanina gotyku i renesansu, wpływów niemieckich i włosko-polskich—to daje mu owo odrębne oblicze artystyczne.

Zresztą niepublikowany projekt ołtarza dla Bamberga wprawdzie już w XVI wieku, znajdujący się w Muzeum archeologicznem w Krakowie, wyraźnie mówi o polskich wpływach u Wita Stwosza, którym i Daun zaprzeczyć nie może.

Na równi z Lübkem i Ehrenbergiem, historykiem sztuki w Księstwie Poznańskiem, wie Daun, że renesans wtargnął do Polski wcześniej, niż to się stało gdzieindziej w Europie, wie, że wtedy, kiedy w Niemczech jeszcze ani słychu nie było o sztuce włoskiej, w r. 1520 powstawała „perła renesansu z tej strony Alp, kaplica Zygmuntowska,“ ale zarozumiałość niemiecka nie ma innego wytłomaczenia dla tego wymownego zjawiska, jak tylko to płaskie powiedzenie, że... tradycye miejscowej sztuki polskiej były słabsze, niż w Niemczech.

Nie chcę polemizować o to, sądzę bowiem, że wykazanie źródła tej odrębnej drogi, jaką szła kultura sztuki w Polsce przez długie wieki, jest rzeczą obszernej, ścisłej pracy źródłowej, a nie artykułu sprawozdawczego.

K. Mokłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

OKTAWIUSZ MIRBEAU.

(Szkic).

Niektóre książki zostawiają po przeczytaniu przykry niesmak i niemiłe podrażnienie. W echu, które budzą w umyśle naszym, rozpoznać można głos pewnego, dobrze znanego uczucia, wiecznie nurtującego w głębi duszy. — Kto ma wzrok wrażliwy na to, co się wkoło dzieje, ten po wejściu w to powszechne tarcie, które nazywają życiem, uderzony jest wielkością czarnych plam na ogólnym horyzoncie. Krok za krokiem potyka się o coś, co przejmuje wstrętem i bólem, co płoszy wesołość, osłabia energię i chęć do dalszego istnienia. Lecz życie, mistrz w prowadzeniu za pasek, oswaja nas z otoczeniem. Pomimo całej odporności duszy obojętniejemy do pewnego stopnia, żżywamy się z tem, co zrazu przejmowała nas zgrozą i oburzeniem. Odczuwalność na mrok i mgłę nie zanika, lecz ta wrażliwość cofa się we wnętrze ducha, i rodzi pragnienie zapomnienia... Wtem artysta zedrze zasłonę z przedmiotu, który wydawał się nam nieznanym,—i widzimy czarną prawdę w całej jej jaskrawości. Napróżno czynimy wysiłki, aby odwrócić oczy, napróżno z rozpaczą wmawiamy w siebie, że nadejdzie czas, kiedy noc zostanie rozproszoną — książka taka hypnotyzuje; zmartwychwstaje za jej podniętą wieczny ból — bezsilności... — i wieczne pytanie, czemu — czemu tak ciemno i ponuro? czemu ludzie męczą siebie i innych? czemu tyle ginie i marnieje zamiast żyć pełnem życiem, zamiast pić promienie słońca?..

Do takich książek należą utwory Oktawiusza Mirbeau.

Książki te obejmują różne sfery życia, przeskakują od jednych faktów do drugich, są pewnego rodzaju kinematografem z wciąż zmieniającymi się widokami; tę wielką rozmaitość łączy ściśle jedna nić przewodnia, jedna wspólna cecha: głos namiętnej nienawiści ku wszystkiemu, co płaskie, co przeciętne, co małe. Nienawiść ta nie jest czemś stałem, zmienia się, przyjmuje często postać lubowania się w samej sobie. Za-

wsze jednak po przez wierzchnią sferę czysto francuskiej patetyczności i naleciałości dziennikarskich dotrzeć można tam, gdzie pulsuje obrzydzenie i pogarda, gdzie przejawia się uczucie silne i rwące, równe swą siłą negatywną uczuciu miłości. — Nienawiść ku tym, co są jako płazy mali w radości i smutku, namiętności i rozpaczy, to uczucie jest główną mocą jego duszy, zakrywa przed nim jasność i słońce. Tam, gdzie Mirbeau usiłuje przedstawić bardziej świetlaną stronę natury ludzkiej, tam staje się chłodnym i deklamacyjnym (niektóre sceny w „Les affaires sont les affaires“). Tylko tam, gdzie szydzi, pluje, druzgocze, tam talent jego nabiera siły; tam jest on taranem, którym wali w mur obłudy i przeciętności. Lecz ten mur stoi nieruchomo i nie chwieje się. Czy jest on wiecznym. To pytanie napełnia Mirbeau zgrzytem i niepewnością, pozbawia go wiary w przyszłość. Przez inercyę tylko pełni on służbę taranu, jako bezwiedna potęga życia.

Mirbeau ma wysubtelniony zmysł odczuwalności ujemnych cech ludzkich. Wszędzie dostrzega lenistwo natury człowieczej, która chwyta byle co i tworzy sobie z tego oporę na całe życie; która najbardziej dostępną jest dla drobnych cząsteczek dawnych wartości, bierze z nich i przyjmuje za wieczne, nieśmiertelne bogi to, co najłatwiej strawne, co najzrozumialsze, to jest płytsze, co najzdrowsze a więc najpowszedniejsze. Między temi staremi wartościami, które są przedmiotem urągania i szyderstwa Mirbeau, jedno z najwybitniejszych miejsc zajmuje kościół. Strony dogmatycznej religii nie tyka; tylko urzędowa reprezentacya kościoła jest przedmiotem jego niechęci.

O arystokracyi, jako pewnej zamkniętej klasie, mówi M. bardzo mało. Nie odgrywa ona obecnie wielkiej roli, pomieszała się z dawnym swym wrogiem burżuazyą i utworzyła razem z nią jeden stan — stan bogatych. Mieszczaństwo, powstałe wskutek wciąż rosnącej kapitalizacyi społeczeństwa, zajęło wszelkie placówki, zagarnęło w swoje ręce wszelkie zakresy działalności i na miejsce dawnych bogów, na miejsce zwalczanych wartości postawiło — pieniądz. „Przez jedno tylko może być wielkim naród, czy jednostka — przez pieniądz (Les affaires). Poza nim przeciętny *bourgeois* nie widzi nic. Nie mając siły do wiary w cokolwiek, naśladowniczo tworzy hasła, mające zaspokoić jego „idealne porywy“, będące małpowaniem innych przez człowieka, pozbawionego wszelkiej, własnej treści. Hasła mieszczaństwa dzisiaj są to zlepki dawnych ideałów, uświęcające przejawy panującej głupoty, podnoszące do cech bohaterstwa brak dalej sięgającej myśli, głębiej obejmującego uczucia. Między niemi przodują hasła nacyonalistyczne. Te hasła świetnie ujął Mirbeau w sylwetce M. Izydora Tarabastin'a. Niektóre znów sfery mieszczaństwa głoszą idee bardziej postępowe. Naturalnie to tylko zręcznie użyte środki ku jednemu celowi: gromadzeniu pieniędzy, co tak świetnie uwypuklił Mirbeau w postaci p. Lechat. „Les affaires sont les affaires“ to ukochane godło dawnego stanu trzeciego, reszta to tylko puste frazesy i szumne deklamacye. „My siejemy życie, dajemy zarobki, podnosimy bogactwo kraju, popieramy wynalazki etc...“ Po za tem wszystkiem odżyła dawna przepaść między bogatymi a ubogimi.

Jeżeli od sfer oddzielnych przejdziemy do ogólnego ujęcia człowieka przez M. to przedewszystkiem uderzy nas rzecz następująca. Ludzie, których nam pokazuje, posiadają jedną wspólną cechę — przeciętność. Ich nie absorbują pytania chwili, szukanie nowych wartości — wszyscy oni są to fusy w ogólnem fermentowaniu, które nic nie czują po za własną, płytko pojętą przyjemnością.

Czarne strony życia są główną treścią twórczości Mirbeau. W odtwarzaniu natury ludzkiej nie dotarł on do tych głębin jaźni człowieka, gdzie się kończy dobro i zło, gdzie nie dosięgają sprawy zewnętrznego życia; gdzie jest niezbadana, niezgłębiona przepaść, z której dochodzi głos syna ziemi, szturmującego nieskończoność. Mirbeau patrzy tylko na uzewnętrznienie się człowieka. Stosunek do samego siebie, kolizye i katastrofy wewnętrznej psychiki nie istnieją w obrazie, jaki on nam daje. Zatrzymuje się on na powierzchni bezdennego morza, które stanowi duszę ludzką i bierze wyłącznie górne warstwy stykające się z światem zewnętrznym. Nie daje w swoich książkach całokształtu ludzkiego ja, przedstawia ludzi w oświetleniu, posiadającem tę właściwość, że uwypukla ono pewne strony, pozostawiając w cieniu inne. Mowa jego jest wybuchem namiętnego uczucia, rozszarpującego duszę i burzącego spokój i radość. Porywa nas ona, niepokoi, pali gorączkowym oddechem tego, który zdusić chce prześladujące go zmory i wydostać się na świeże powietrze, a nie ma siły, aby odwrócić oczy od brudu i błota.

Organizacyi psychicznej Mirbeau, której siłą dominującą jest nienawiść, ściśle odpowiada największa potęga jego twórczości — druzgocąca siła ekspresyi. W szyderstwie swojem umiejętnie wyszukuje słabe strony przeciwnika i nie zna litości nad pokonanym, którego nietylko zwycięża, lecz często i pastwi się nad nim.

Książki jego mają niezwykłą plastykę położenia. Parę słów wypowiedzianych, parę gestów oświetla pewną jednostkę w jaskrawych, gryzących barwach. Ow Tarabastin, czy E. Olivier, czy też Bourget są tak pysznie naszkicowani paru powiedzeniami, że stają, jak żywi przed nami.

Mirbeau opuszcza często stanowisko przedstawiacza, lubi dodać coś od siebie, co jeszcze bardziej podkreśla i ukazuje proces gnicia. Niecierpliwy, nie może powstrzymać się od bezpośredniego mięszania się do akcyi. Ta skłonność do podkreślania przechodzi nieraz u niego w manierę, która psuje wrażenie artystyczne.

Odpowiednio do tej właściwości pisze on urywkowo, doprowadza opowiadanie do miejsca, gdzie chce przytoczyć jakieś charakterystyczne „powiedzenie“; potem je rzuca i przeskakuje do innego. Język jego utworów jest lekki, przyjemny, nienużący, nadaje on odrębną formę szorstkości talentowi autora, który nigdy nie wykończa, nic sobie nie robi z perspektywy i harmonii kolorytu. Sposób opowiadania jest niby wesoły, lecz wesołość ta rzadko kiedy bawi, częściej niepokoi i napełnia zgrzytem.

Żyjąc w epoce schyłkowej, jest Mirbeau jednym z wybitnych wyrazów buntu natury ludzkiej przeciw staniu w miejscu i przeżywaniu zdobytych owoców kultury. Jest on z tych, którzy chcą iść naprzód, których pcha jakaś dziwna potęga, ukryta w duszy, lecz są oni przykuci do swego czasu i duszna atmosfera pozbawia ich siły. „Zdaje mi się nieraz — pisze on — w „Vingtetun jours d'un neurasthenique,“ że jestem na peronie i że mam wsiąść do pociągu. Stoi on przedemną... Ludzie wsiadają... Ja nie mogę... Na nic nagabywania służby i potrącania przez innych pasażerów... nie mogę... Pociąg odchodzi... Nadchodzi drugi... toż samo. Dziesiąty, dwudziesty, setny... wciąż to samo... Jestem na schodach. Idę do swego mieszkania na 5 piętrze... Podnoszę nogi... nie mogę wejść. Nogi się poruszają z wielką szybkości, a pomimo to stoję na miejscu...“

Zbigniew Brodzki.

NOWE KSIĄŻKI.

Ubiory ludu polskiego. Zeszyt I-szy (28 tablic i 12 rycin w tekście). Kraków, nakładem Akademii Umiejętności.

Przyzwyczajeni do dotychczasowych wydawnictw naszej najwyższej instytucyi naukowej, z przyjemnem zdumieniem bierzemy do ręki pierwszy zeszyt „Ubiorów ludu polskiego,“ już wyglądem zewnętrznym różniący się od sztywnych „tomów“ Akademii krakowskiej.

Nie przeczę, że ta „akademickość“ daje poniekąd rękojmię powagi i ścisłości badań, jednak ona właśnie odstraszała od podobnych wydań tak zwany „szerszy“ ogół.

Dlatego też, zdaniem mojem, komitet wydawniczy komisyi antropologicznej postąpił roztropnie, wydając dzieło poważne pod postacią tak dostępną i nęcącą.

A od dawna czas już wielki na zgrupowanie, opracowanie historyczne i... uwiecznienie malowniczego stroju ludu naszego, rzucającego światło na jego piękno. Każdy z nas, mieszkając przez czas dłuższy w pewnej okolicy ziemi polskiej, miał sposobność zauważyć zastraszająco spieszne zmiany stroju ludowego, przechodzącego fazy karykaturalnego krzyżowania się z ubiorem miejskim, nim wreszcie zatonie bezpowrotnie w „szarzyźnie tandetnej.“ Barwne sukmany, skrzące się kierezye i kwiaciaste czepce wszędzie i stale wypierane są przez „surduty“ i kapelusze nieznanego pochodzenia i dziwacznego kroju. Jak dalece już dziś trudno w niektórych okolicach kraju odnaleźć strój ludowy, jeszcze stosunkowo niedawno pospolity, dowodzi fakt, że nie udało mi się, pomimo kilkoletnich, skrzętnych poszukiwań, zdobyć oryginalnego ubioru chłopa żmujdzkiego. A przecież przed 30 laty był on jeszcze powszechnym.

Omawiany zeszyt rozpoczyna monografię ubioru ludu *krakowskiego*, jako najlepiej dotąd zbadanego. To jedno miano obejmuje aż *sześć typów*, wyraźnie między sobą się różniących.

Wyborny znawca ludu krakowskiego, osiadły wśród niego i z nim spokrewniony, Włodzimierz Tetmajer, dał tu dwie przepyszne, kolorowe ryciny: „Flisacy z Czernichowa“ i „kapelusze i czapki.“ Jedną tylko pozwolę sobie zrobić uwagę, że Tetmajera stać było na rasowe twarze krakowiaków, pociągające swą prawdą i wyrazem na jego obrazach. Resztę sześciu tablic wypełnił Józef Zabagła, przedstawiając hafty, sposób zawiązywania chustek, kaftan męzki, widziany z przodu, tyłu i boku i strój czernichowski z r. 1840. Nadto 9 fotografij i 2 rysunki, umieszczone w tekście, dopełniają ilustracyj. Tekst, skreślony piórem wytrawnem, zawiera opis stroju głowy.

Prawdziwa wdzięczność należy się pp. Romanowi Zawilińskiemu, Sewerynowi Udziele i Włodzimierzowi Tetmajerowi, członkom komitetu wydawniczego, za to wydawnictwo; chyba można mieć nadzieję, że komisya Akademii Umiejętności, która „zmierzyła siły na zamiary i, nie posiadając potrzebnych środków materyalnych, ufa w poparcie całego społeczeństwa polskiego“ — na ten raz na niem się nie zawiedzie...

M. Brensztejn.

— Henryk Salz: **Błędnymi szlaki** (!).

Pod takim tytułem wydał p. Salz, autor komicznie piskliwego „Krzyku niewolnika“ — sonetów aż dziewięćdziesiąt, zlepków rymowych trzynasto i ośmiozgłoskowych; takich dziewięćdziesiąt rozlatujących się lepianek, wystawionych wśród strasznej męki Tantala, któremu „*krokodyl* w grzbiet przegięty wpił ząb krwiożerczy,“ który „piersią dyszącą gorączką budzi cienie dawno zagasłych ludów,“ by ich zapytać, „co im powieki zwarło“ itd.: dziewięćdziesiąt sonetów pełnych stylowych i gramatycznych błędów, wołających o pomstę do nieba — a staniecie bezradni wobec pytania: Dlaczego do dziś nikt nie założył towarzystwa, któreby zapobiegało znęcaniu się ta-

...ich „poetów“ nad czytającymi, zecerami, ko-rektorami w sposób zupełnie bezkarny? Wyobraźcie sobie: taki pan (Salz) siada do roboty i z trudem pisze: „co noc duszę czyścilem z każdej ziemskiej *zmazy*, w glazie kując jej święte (!) wizye i (naturalnie!) obrazy, *byt* pragnąłem *okazać* (!!), w pięknie-m prawdę chciał *zjawić* (!), lecz jak oszczercze były (no zgadnijcie kto?)... kamień i dłuto i rzucały *razy* (już wiecie na co...) na duszy mej natchnione, płomienne... (rzecz jasna, że:) *ekstatyczny* lęk mię zdjął: nie spełniłem swego (Risum teneatis!) *powołania* (!) i w tem sił zmarnowaniu własną widzę winę... niepoznawszy — gi... (Poeta! terra tibi levis sit!). Ale nie przerażajcie się, p. Salz tylko tak udaje, że ginie. Pan Salz jest „narymny“ — wydziera się śmierci i „śpiewa“ dalej: „...a gdy będziesz pracował, nigdy nie chodź — w słońce, lecz w noc wrześniową (broń Boże np. lipcową), ...aj, gdzie miesięczna łąka... — rzeźb na tej łące... rysy twemu tworowi! Niebacząc na to, że tu już jest nieprzyzwoity (na łące wisiał na tablicy napis: „zanieczyszczanie tego miejsca zakazuje się pod karą 4 koron!“), wyrzeźbiwszy „kształty swemu tworowi“ — stwierdza: „wszystko pójdzie marno (!), wszystko—i ja błędna owca padnę między owce!..“ Tak panie Salz, powinien pan to jak najszybciej zrobić, pamiętając o zasadzie: suum cuique...

Na str. 27 pisze do Słowackiego i płacze: „widzę go w szacie pokutnika... patrzy mi w oczy łzawemi *oczyma* i smutnym wzrokiem duszę mi przenika. Mistrzu! i czemu w postaci grzesznika jawi się duch twój, gdy tak czyste ...*ma* (?!). Mistrzu, czy płaczesz, gorzkiej ...wych braci litując się doli?“ Tak — nie ulega żadnej wątpliwości, że Słowacki z Nietschem ...oga prosi, aby raz przecie nie wszystkim... wszystkiem mówić i pisać wolno było... i dlatego mu „z oka spada łza straszna, piekąca...“

— Józef Mirski: **Tajemnice** (1904. Lwów, Księgarnia Polska).

„Tajemnice“... znane i nietajemne od epok jaskiniowca. P. Mirski rymuje wprawdzie lepiej i łatwiej, niż p. Salz, ma nawet kilka wierszyków dość udatnych i zgrabnych, ale i tu podobnie „ciekawe“ i istotnie „tajemnicze“ zjawiska, co w „Błędnych szlakach.“ P. Mirski „wisi nad krawędzią,“ „ściągnąwszy duszę *w uszy*“ (!), powtarza do znudzenia wszystkie plotki o „dłoni czarnej, kryjącej słońce,“ wygrywa katarynkową piosnkę „na nastrojonych cymbałach“: bez zakłopotania zlizuje „sok winnego grona z ust kochanki“—nie podpisawszy Staffowi weksla na zaciągniętą „pożyczkę“..., praży „ciało umiłowanej kochanki w ogniu swej krwi“ — nie płacąc procentów Przybyszewskiemu; przerabia (muszę przyznać, że udatnie) piosnkę rusińską „U susida chata biła“ na „Z chłopskiej duszy“ — nie wspominając nic o pierwowzorze — i tak w kółko i ciągle banalnie i płytko.

Edmund Weisberg.

POEZYE

Z Tatr.

Wodospad Mickiewicza.

...Łożem ciemnomiedzianej, granitowej ściany
Bucha z paszczy potoku pian śnieżna lawina...
Spada z grzmotem na glazy—potwory Böcklina,
Rozbryzgując się w jarze w potok srebrnopiany.

Jak śnieżnym płaszczem włosów okryta ondyna,
Co, szalejąc, rzuciła się twarzą na skałę,
Urga wodospad, toczący piany śnieżnobiałe...
Grzmi Rybiego potoku fala srebrnosina...

Złotymi listki trzęsą brzózki białopienne,
Struchlał ciemnozielony porost kosodrzewu...
Ducha zwolna ogarnia rozmarzenie senne...

Słucham sennie spienionych wód grzmiącego śpiewu,
W którym szlocha żałosnej ondyny kochanie
I tęsknota po złotym, strzaskanym tytanie...

Morskie Oko.

..Z liliowo szarych turni wyrzeźbiona czara,
Płynną tęczą, szmaragdem i złotem nalana...
Mięguszewickiej, Mnicha widmowa śni ściana,
Zataczająca półkrąg lila wirchów mara...

Płatami rdzy złocistej lśni turnia Miedziana...
W lazurze kwitnie wizya Tatr liliowo szara...
Z liliowoszarych turni wyrzeźbiona czara...
W niej śpiącego jeziora baśń płonie świetlana..

...Śnią widmowe, baśniowe pałace z hebanu,
Marzą ciemnotęczowe, widmowe kolumny,
Ciemne tumy widmowe w sezamu głębinie...

Śnią odbicia liliowych turni roztruchanu,
Nim do czarnej niebytu ułożą się trumny...
Baśń śpiącego jeziora, jak wizya, w mrok płynie...

Na Kazalnicy w dolinie Białego.

...Pode mną otchłań w słońcu, zawrotna, bezdenna...
Nawprost płonie Giewontu pierś ciemna, skrzesana...
Z boku pionem przepastnym smrekowa lśni ściana,
Płonie w słońca pożarze, jak wizya marzenna...

Jaru gardziel straszliwa, smrekami wysłana...
Szemrze w bezdni Białego potoku baśń senna...
Lśni, oślepia kamieni ćma srebrno-płomienna...
Ich lawina przygniata pierś ziemi tytana...

...Staję na Kazalnicy... na ambonie świata...
Błękitem orzeł skalny, jak piorun, przeleta...
Staję w chmurnem milczeniu, niemy kaznodzieja...

Osłupiała Tatr w słońcu warownia szczerbata,
Skrzy słonecznego żaru płomienna zawieja...
Pean na cześć złotego słońca-czarodzieja...

Wacław Wolski.

NA MARGINESIE.

Telepatya w świecie zwierzęcym i żarty. J. Burroughs w *Century* przypuszcza, że zwierzęta posiadają zdolność porozumiewania się, szczególniej zaś te, które wydają głosy, niemające naturalnie nic wspólnego z mową, lecz będące wymianą zaledwie wiadomych nastrojów, podobnych w pewnym stopniu do tego, co nazywamy telepatyą u ludzi. Przypatrzmy się, jaką nadzwyczajną jednością uderzają ruchy całego stada ptaków krążącego w powietrzu — wszystkie działają jak jeden, z trudną do naśladowania precyzyą i zgodnością.

W stadzie owiec zauważyć można tenże sam nastrój psychiczny, to samo działanie niewidocznego wpływu w takim stopniu, w jakim nie widzimy tego nigdy wśród ludzi.

Wojsko idące np. bez wodzów, bez głośnej lub piśmiennej komendy uległoby wprędce najzupełniejszej dezorganizacyi. Zwierzęta nie. Łączyć się je zdaje jakaś spójnia duchowa, obca człowiekowi, której błyski w gromadzie ludzkiej zjawiają się dopiero w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa. Pod wpływem silnego podniecenia wracamy mniej więcej do stanu zwierzęcego, działamy pod nakazem instynktu. Być przeto może, że telepatya, to jest zdolność promieniowania z siebie sił myślowych lub wzruszeniowych w celu oddziaływania na kogoś z odległości, jest dziedzictwem pozostałem niektórym z nas po zwierzęcych naszych przodkach. Tę wrażliwość, rozwiniętą w nich tak wysoko, my posiadamy już tylko w stanie szczątkowym.

Figle i żarty trzymają się tak samo zwierząt, jak ludzi. W *La Revue* H. Coupin rozwodzi się nad tą zdolnością czworonożnych i czwororękich, objawiającą się w przystępie wesołości lub też bardzo często w celu zemsty.

Najpochopniejsze do figlów są małpy, lecz te prawie zawsze działają pod wpływem mściwości, psy zaś najczęściej dla zabawy. Zdarza się to, choć rzadko, nawet wołom. Pewien Francuz, który mieszkał w Indyach, opowiada, jak raz św. wół bramiński wdarł się na jego łąkę, a wypędzany kijem przez ludzi udał zabitego ku wielkiemu przerażeniu wszystkich, i leżał jak martwy dopóty, dopóki się ludzie nie oddalili, poczem powstał i dalej najspokojniej skubał sobie trawę. Ile razy chciano wypędzić go z łąki, zawsze padał, udając martwego.

Słonie lubią też i umieją płatać figle; to samo niektóre ptaki, szczególniej papugi.

W takich wypadkach najczęściej jednak rolę pobudki gra zemsta.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Izba sądowa w Kiszyniowie ogłosiła wyrok w sprawie Rusnaka i innych 55, oskarżonych o zaburzenia antisemickie w kwietniu r. z. w Kiszyniowie. 18 podsądnych stawało, oskarżonych o zabójstwo i rozruchy antisemickie, pozostali tylko o zaburzenia. Rusnak i Bordjan uznani zostali za winnych zabójstwa małżonków Żydów Fonarich i skazani na ciężkie roboty: pierwszy na lat 4, drugi na 2 lata i 8 miesięcy; 15 podsądnych za rozruchy antisemickie skazano na rok rot aresztanckich, 3 niepełnoletnich na 4 miesiące więzienia, 36 uniewinniono. Dwa powództwa cywilne pozostawiono bez rozpoznania, 64 bez zadosyćuczynienia. Powództwa te zgłosili wyłącznie Żydzi.

— Według sprawozdania biura przesiedleńczego, z Syberyi powróciła trzecia część wychodźców. Przyczyniły się do tego niekorzystne warunki osiedlania.

— Dnia 9 b. m. w Białymstoku, podczas pogrzebu, robotnika, zaszły utarczki między policyą i publicznością. Jeden z uczestników pogrzebu strzelił kilkakrotnie do policmajstra Pielenkino — schwycono go i u-...

— Z okolic Kolna donoszą, że ludność tamtejsza, dotknięta ciężkim przednówkiem, a następnie namawiana przez agentów, tłumnie emigruje za Ocean, przeważnie do Kanady.

— Z Krakowa donoszą, że posłowie tamtejsi postanowili wnieść w Radzie państwa interpelacyę w sprawie wyjęcia księstwa Cieszyńskiego z pod władzy kardynała Koppa.

— Według najświeższych obliczeń, Związek polskich stowarzyszeń gimnastycznych liczy obecnie w Niemczech 90 stowarzyszeń, podczas kiedy w r. 1895 liczył 26. Od r. 1900 powstało na Śląsku 20 nowych stowarzyszeń „Sokoła,“ w Brandeburgii pięć, w Nadrenii 12, w Westfalii 15. Liczba dorosłych członków podwoiła się, liczba uczniów pomnożyła się pięciokrotnie.

— W *Gaz. Pols.* czytamy: „Jedno z pism poznańskich podało wiadomość o aresztowaniu we Włocławku Niemca, który usiłował rozpowszechniać wśród publiczności druki, podniecające ludność miejscową, a drukowane w Toruniu. Gdyby wiadomość ta była prawdziwą, dowodziłoby to, że nasi niemieccy „przyjaciele“ zbyt liche mają wyobrażenie o naszym rozumie publicznym i zbytnio liczą na naszą naiwność. My jednak nie jesteśmy tacy naiwni, za jakich nas mają w Berlinie, i żadne podniety niemieckie nie odniosą pod tym względem skutku. Lepiej więc odrazu zaniechać taktyki równie nikczemnej jak bezowocnej.“

Osobiste. *Goniec wieczorny* pisze: „Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, że p. Wojciech Szukiewicz *ustąpił ze składu redakcyi* tygodnika *Prawda*.“ Nie wyrażamy uzasadnionego zdziwienia, lecz tylko ciekawość, kto też mógł „prosić“ redakcyę *Gońca* o pomieszczenie tej wiadomości w takiej formie.

Szkoły i wychowanie. Staraniem Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego otworzono w Częstochowie kursy wieczorne. Program obejmuje następujące przedmioty: Języki rosyjski i polski w zakresie czytania i pisania z wyjaśnieniem znaczenia słów i zwrotów, etymologia i składnia; arytmetyka w zakresie czterech działań z liczbami całemi i ułamkami; geografia w zakresie wiadomości początkowych z geografii politycznej, krótki rys geografii Europy; rysunki i kreślenie z wzorów i modeli; pogadanki z nauk przyrodniczych w zakresie początkowych wiadomości z fizyki i mechaniki.

— Stowarzyszenie wzajemnej pomocy subjektów handlowych w Łodzi otrzymało pozwolenie na założenie kursów wieczornych dla dorosłych.

— Ministeryum komunikacyj postanowiło powiększyć liczbę szkół kolejowych, technicznych. Jedna szkoła ma przypadać na tysiąc wiorst toru. Koszta założenia szkoły wraz z budową gmachu obliczono na 120,000 rb. Wobec tak znacznej sumy ministeryum uchwaliło na przyszłość przy pozwoleniu na budowę nowych kolei włączać wydatki szkolne 100,000 rb na każde 1,000 w. Dla kolei Nadwiślańskich, prócz istniejącej szkoły w Chełmie, ma powstać jeszcze jedna.

— Obywatel gub. Kurskiej, Ostańkowicz, przekazał ziemstwu miejscowemu 40,000 rb. na założenie średniej szkoły rolniczej.

— W uniwersytecie lwowskim odbyła się pierwsza promocya kobiety na lekarza — p. Ady Kalmus.

— Z powodu napaści studentów niemieckich na słowiańskich i niebezpieczeństwo dalszych starć, wykłady w uniwersytecie wiedeńskim zostały zawie[illegible].

Wiadomości naukowe. Cesarska Akademia nauk w Petersburgu wyznaczyła nagrody 5,000 i 2,500 rb. za odszukanie naukowej wyprawy, bar. Tolla i astronoma Zeberga pod biegun północny. W październiku minął już rok, od chwili gdy odważni badacze opuścili wyspę Bennet na północ Nowej Syberyi i znikli bez wieści.

Literatura i prasa. Odroczone na dochód powodzian odczyty pp. Aleksandra Świętochowskiego, Stanisława Kempnera i Antoniego Pileckiego odbędą się dnia 28 b. m.

Konkurs, ogłoszony przez galicyjski Wydział krajowy na utwory dramatyczne dał następujące wyniki: Pierwszej nagrody nie zdobył żaden z autorów sztuk nadesłanych. Dwie drugi po 700 koron przyznano sztukom: „Madej zbój" Karola Mattuszka i „Lilith" Juliana Germana. Dwie trzecie nagrody po 300 koron otrzymały sztuki: „Z pamiętnika Soplicy" Macieja Szukiewicza i „Doktór Rensloff" Michaliny Szwarc. Nadto sześć utworów wyróżniono zaszczytnie i sześć — zwyczajnie.

Ze sztuki. Na konkursie, ogłoszonym przez Tow. artystyczne na plakat reklamowy firmy E. Wedel, pierwszą nagrodę przyznano p. Dworzakowi, drugą — p. St. Rudzińskiemu.

— **Sprawy ekonomiczne.** D. 13 lutego 1904 r. włościanie gmin Freda, Aleksota i Wejwary w pow. Maryampolskim, gub. Suwalskiej, w liczbie 38, pod kierownictwem jednego z obywali miejscowych zawiązali spółkę, obleczoną w formę rejentalną. Celem spółki jest nabywanie dla członków i okolicznych sąsiadów maszyn i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, nasion, reproduktorów i niezbędnych dla nich rzeczy. Wkłady określone do wysokości rs. 25 od członka — ilość członków dowolna.

— W Wilczycach, pow. Sandomierskim, zawiązana została spółka włościańsko-rolnicza, do której przystąpiło 33 osób z wkładami 20-rublowymi.

Koleje i komunikacye. Obliczono, że liczba osób zwalnianych ze służby kolejowej, z powodu utraty zdrowia, wynosi na kolejach Nadwiślańskich 10,4%, na Warszawsko-Petersburskiej 9%, Łódzko-Fabrycznej 7,8%, i na Warszawsko Wiedeńskiej [illegible]. Pod tym względem kolej Warszawsko-Wiedeńska najbardziej zbliża się do kolei niemieckich, gdzie procent pozbawionych miejsca z powodu zrujnowanego zdrowia wynosi 5,1%. Tłomaczy się to lepszymi warunkami służby i uposażeniem materyalnem urzędnikó i oficyalistów. Na kolejach w gub. wewnętrznych pro cent powyższy dochodzi do 18½%.

Poczta. Wydane zostały przepisy, zalecające urzędnikom pocztowym ścisłość i szybkość w doręczaniu korespondencyi. Gdy tylko okaże się, że listy zwyczajne z przyczyn niezależnych od urzędu, nie mogą być doręczone adresatowi, powinny być niezwłocznie zwrócone do miejsca ich podania. Jeśli urząd dowie się o nowem miejscu zamieszkania adresata, korespondencya, z wyjątkiem posyłek i pieniędzy, powinna być posłana według nowego adresu. Niedoręczona korespondencya pieniężna, przekazy, posyłki i listy *post restante* mogą być przechowywane nie dłużej niż dwa miesiące, poczem powinny być odesłane na miejsce podania.

OFIARY.

Na powodzian. W. J. i H. F. z Mohylowa nad Dnieprem, rb. 19 kop. 27.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Марта 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.